

X LEGENDY

GRAND PRIX

ARTUR KAMIEŃSKI

O tym jak dąb dostał imię Arkadiusz

Stoimy razem. Równo w rzędzie poustawiane doniczki. Pan w zielonym mundurze wystawia moje kolejne siostry i braci z dużego samochodu. Wśród nich ja - mały, chudy, wiotki, a przede wszystkim bardzo wystraszony.

Wczoraj zabrali mnie od mamy. Ona mówiła, że tak będzie. Do tej pory rosnę sobie spokojnie, otoczony jej ramionami, jak parasolem. Ona chroniła mnie od wiatru, rzęsistego deszczu, promieni słońca, a raz nawet uratowała mnie przed zdeptaniem. Było to jesienią. Jakiś chłopak szedł przez las, niósł koszyk z grzybami i omal na mnie nie stanął, ale mama rzuciła w niego żołędziem. Udało się! Ten chłopiec miał jasne, kręcone włosy. Zapamiętałem go, mało ludzi widziałem w dzieciństwie. Chłopak schylił się, podniósł żołędź, a mnie pogłaskał po patykowatym ciele. Pomyślałem, że ludzie nie mogą być tacy źli, jak przestrzegała mnie mama.

Na placu zbiera się tłum. Wszyscy noszą paczki gazet powiązane sznurkami, wrzucają je do kontenera. W zamian za oddany papier otrzymują sadzonki. Mną nikt się nie interesuje. Może uda mi się wrócić do mamy?

Wtedy go zobaczyłem. Niósł wielką paczkę makulatury, ledwo dźwigał, jakiś pan pomógł mu ją włożyć do samochodu. On nie poszedł po sadzonki kwiatów, podszedł do nas. Dotykał moje siostry ubrane w kłujące, zielone sukienki, ale wybrał mnie. Poznałem go, to ten sam chłopak z jasnymi, kręconymi włosami. Już się nie bałem, on nie zrobi mi krzywdy!

Artur posadził mnie nieopodal własnego domu, w zakolu rzeki Łeby na żyznej glebie Błękitnej Krainy. Wiem, że wyrosnę, będę wielki i silny, ramionami będę obejmował skrawek nieba. Będę patrzył na moje miasto z wysoka, moje korzenie wrosną w lęborską ziemię. Jestem szczęśliwy. Jestem dębem szypułkowym. Jeśli los będzie dla mnie łaskawy, to może przeżyję i 1000 lat.

* * *

- Artur, no, jedziemy?
- Arek, czekaj jeszcze tylko poprawię plecak.

Droga nad morze mijala nam szybko, niedawno zbudowana ścieżka rowerowa znacznie ułatwiła wycieczkę do Łeby. Po drodze zmieniliśmy plany, zjechaliśmy w stronę Ulini. Tam w cieniu wielkich dębów, wycienczeni jazdą, postanowiliśmy odpocząć. Zmęczony podszedłem do wielkiego drzewa, dotknąłem dłońmi jego szorstkiej kory, w głowie mi się zakotłowało, świat

zawirował, drzewo zaszumiło... i zobaczyłem chłopca.

* * *

Mały obdartus, może pięcioletni, biegał po lesie, zbierał żołędzie, wspinał się na drzewa. Był dziwnie ubrany, jak nie z tej epoki. Biegał boso, a była już jesień. Na gałęzi dębu, schowany wśród liści, tkwił ukryty domek - parę desek, jakaś szmata, ludzik z patyków, zrozumiałem - to jego królestwo. Mały śpiewał radośnie:

- Arkadiusz - Mości Panie stawia się na tve wezwanie. Arkadiusz, rycerzem zostanie!

Z oddali zbliżał się odgłos kopyt końskich, oddział zbrojnych podjeżdżał powoli. Zobaczyłem migające w oddali białe płaszcze z czarnymi krzyżami. Oddział rycerzy zakonnych podążał w moją stronę. Przodem pędzili lud wiejski, ubrany w białe, lniane, zgrzebne koszule, szare nogawice, kapcie z łyka. Ludzie przerażeni, potykali się o nierówności drogi. To oddział zaciężnych dowodzony przez Kaspra Nostrica i Fritza von Rawenecka wziął jeńców z Ulini.

- Królu Kazimierzu... - mały zamilkł.

Jego jasna postać wyraźnie odcinała się od zieleni lasu. Zobaczyli go i Krzyżacy. Kasper Nostritz puścił się cwałem między drzewa. Mały zaczął uciekać. Biegł ile sił, jego białe stopy błyskały w powietrzu, ale koń biegł szybciej. Dokąd on biegnie? Biegł do dębu, do swojego ukrytego domku. Czy myślał, że drzewo go ochroni?

Oddział zbrojnych stanął przy drodze, śmiejąc się z uciekającego malca. Stanęli i wieśniacy wpatrzeni z przerażeniem w ostatnie chwile chłopca. Zaległa grobowa cisza, śmiech Rawenecka odbijał się echem od pni drzew. Kasper Nostritz podniósł miecz, by ugodzić śmiertelnie chłopca.

Dąb spod Ulini krzyczał. Słyszałem jego krzyk, ale z pnia nie wydobył się żaden dźwięk. Chciał biec, ale jego korzenie tak mocno tkwiły w ziemi, że nie wykonał żadnego ruchu. Łkał, żywica płynęła kroplami z jego pnia. Nagle bezradne drzewo spięło się w sobie z całych sił, zadrżało i jego prawe ramię runęło na odsłoniętą głowę Nostrica. Krzyżak padł na ziemię bez życia, malec tulił się do pnia dębu. Śmiech Rawenecka zamarł, dwóch braci zakonnych wciągnęło na konia nieprzytomnego towarzysza.

- Mówiłem, że to ciągle poganie, co czczą drzewa w świętych gajach! Zostawmy ich, bo jeszcze jakieś nieszczęście nam się przydarzy.

Kasper Nostritz żył, widziałem jak oddychał. Krzyżacy odjechali w popłochu, zostawiając jeńców i małego obdartusa, chowającego się za drzewem. Chłop w białej koszuli podszedł do drzewa, ukląkł przed nim.

- Dzięki ci Boże, za ocalenie mojego syna - Arkadiusza.
- Dzięki ci dębie, że zechciałeś stać się narzędziem Pana.
- Od dnia pańskiego 18 września 1460r. będziesz nosił imię dąb Arkadiusz.

* * *

Artur, co z tobą, śpisz?! Arek szarpał mnie za ramię. Zerwałem się na równe nogi. Rozglądałem na boki z przerażeniem, szukając oddziału braci zakonnych, małego chłopca, jeńców, ale tylko dąb delikatnie szeleścił liśćmi.

- Cemu tak zbladłeś! Boli cię coś!
- Nie – mruknąłem.
- Wiesz, ten dąb nad moją głową nazywa się Arkadiusz, jak ty!
- Co ty pleciesz, takie bzdury - wrzasnął kolega i całą mocą kopnął w wielki pień.

Dąb Arkadiusz załopotał gałązkami i zrzucił na głowę młodego człowieka żołędź.

- Co tu się u diabła dzieje? - krzyczał kolega trzymając się za ucho. - Wracamy.

Droga powrotna minęła nam w milczeniu. Nie miałem ochoty opowiadać Arkowi o tym, co widziałem. W domu sprawdziłem w Internecie: w miejscowości Ulinia rośnie pomnik przyrody - okazały dąb szypułkowy Arkadiusz.

Następnego dnia opowiedziałem moją historię mamie. Ta, z troską w oczach, po chwili zastanowienia, odparła:

- Z medycznego punktu widzenia jest to całkiem możliwe. Na jazdę rowerem zużyłeś cały zapas glukozy w organizmie, a mózg w hipoglikemii potrafi tworzyć różne wizje i obrazy. Za dużo tej historii, Artur!

Po południu pobiegłem nad zakole Łeby do mojego dębu, który był dopiero małym patyczkiem. Pogłaskałem go delikatnie. Dziwnie zadrżał. Może on też kiedyś będzie tak wielki jak ten z Ulini, może wrośnie korzeniami w mały skrawek łęborskiej ziemi i będzie czuwał jak król puszczy, nad dziejami historii Błękitnej Krainy.

051A

Jolinta

Podst

Legenda o powstaniu Janowic

W czasach dawnych, może nawet bardzo, żył w pewnej biednej, zaniedbanej wsi chłopiec o imieniu Jan.

Mieszkało tam niewielu wieśniaków, zaledwie pięciu mężczyzn, cztery kobiety i troje dzieci, bo wojny niszczyły tę ubogą krainę, a ludzie wymierali lub uciekali na żyzne ziemie mazowieckie.

Jan miał kozę, która towarzyszyła mu, gdziekolwiek się udawał. Cóż, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że koza miała magiczną moc- potrafiła mówić.

Któregoś razu powiedziała swojemu opiekunowi:

- Chciałabym, żebyśmy się stąd wyprowadzili. Nic cię tu nie trzyma. Jesteśmy wciąż głodni, a ty nie masz nawet żony, która by ci pomagała. Widzisz przecież, jaka tu bieda i wiesz, że nic się nie zmieni.

- Ale ja się tutaj urodziłem i tu mam przyjaciół. Może niewielu, ale za to najszczerzych i najżyczliwszych.

- Nie założysz tu rodziny, a przyjaciół znajdziesz wszędzie- przekonywała koza.

Jan wiedział, że koza ma rację, ale bał się wędrówki i tego, co może go spotkać w dalekim świecie. Wreszcie się zdecydował:

- No dobrze, to kiedy wyruszamy?

- Nie ma na co czekać. Jutro z rana.

Następnego dnia słońce wstało weselsze niż zwykle, a Jan uznał to za dobrą wróżbę.

Powędrowali więc na wschód przez stare puszcze, w których żyło mnóstwo zwierzyny, kwietne łąki i rozległe pola. Spotykali wielu ludzi dobrych, ale także wielu złych.

Któregoś dnia zobaczyli z daleka most. Znak, że zbliżają się do siedzib ludzkich. Nie było im jednak dane przejść spokojnie. Gdy byli już przy moście, nagle pojawił się strażnik. Aby pójść dalej, musieli odpowiedzieć na jego pytania. Prawdę mówiąc byli zaskoczeni, ale cóż mogli zrobić?

- Ile ten most ma lat?

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć- wyrwała się koza niecierpliwie, jak to zwykle niewiasty robią, nawet jeśli są kozami.

Strażnik nie krył zdumienia:

- Dobrze odpowiedziałaś kozo, możesz przejść przez most. Ale ty chłopie nie.

- Dlaczego, przecież odpowiedziała na twoje pytanie?

- Ona tak, ale teraz zagadka dla ciebie.

Jan przeczuwał jakiś podstęp, lecz nie okazał strachu.

- Dobrze, jak brzmi drugie pytanie?

- Kiedy ten most będzie miał tysiąc lat?

Wiadomo, iż odpowiedź na najprostsze pytanie może być najbardziej kłopotliwa.

- Za...- Jan się zająknął.

- No, za ile?! -strażnik się niecierpliwił.

Koza stuknęła kopytkiem o przydrożny kamień. Zapewne nie było to uczciwe, ale kto kozę miał nauczyć uczciwości?

- Za rok- szybko odpowiedział chłop.

Strażnika zdziwiła jego bystrość, ale cóż, słowo się rzekło.

- Możesz przejść, droga wolna- powiedział niechętnie, bo był z gatunku tych ludzi, którym raczej z oczu dobrze nie patrzyło.

Wstąpili na most. Z każdym krokiem wydawało się, że niebo zniża się ku ziemi i łączy z wodą, która okazała się przezrystą rzeką. Zewsząd otaczał ich błękit. Tak, tak, dotarli do Błękitnej Krainy, ale żadne z nich o tym nie wiedziało.

Koza powiedziała:

- Tu zostaniemy. Widzisz, to kraina mlekiem i miodem płynąca.

Jan przytaknął, bo okolica była rzeczywiście przepiękna. Jasnozielone połacie pól, kwitnące drzewa i wszechobecny błękit wody i nieba. Niepokoił go tylko dobiegający z daleka szum. I rzecz dziwna, w tej cudnej okolicy stał tylko jeden dom. Z jego okna wyglądała prześliczna dziewczyna.

Jan zakochał się od razu i zapomniawszy o wszystkim pobiegł do jej domu. Zapukał nieśmiało do malowanych drzwi.

Dziewczyna otworzyła mu i zapytała:

- Kim jesteś? Po co przyszedłeś?

- Na imię mam Jan. Szukam swojego miejsca na ziemi, ale takiego, co jest życzliwe człowiekowi i pozwoli na godne życie.

Zdziwiła się dziewczyna, bo nie wiedziała, że gdziekolwiek mogą być ziemie nieprzyjazne człowiekowi.

Okazało się, że panna ma na imię Janowica i mieszka tu od śmierci ojca. Nie chciała o tym opowiadać, tylko szepnęła:

- Zabrało go.

Jan nie rozumiał, ale miał nadzieję, że kiedyś pozna tę tajemnicę.

A z kóz co? Koza pomyślała, że swoją misję już spełniła i od tej pory nigdy nie przemówiła ludzkim głosem.

Po trzech miesiącach odbyły się zaślubiny. Janowica urodziła Janowi dwanaścioro dzieci. Przez długie lata żyli zgodnie i szczęśliwie, ciężko pracując. Uprawiali ziemię, hodowali zwierzęta i nigdy nie byli głodni.

Wokół powstawały coraz to piękniejsze domy i nikt już nie był samotny.

Gdy Jan i Janowica umarli, ich dzieci nazwały swą wieś JANOWICE. Na cześć rodziców, którzy nauczili ich miłości i szacunku, ale też ciężkiej pracy. Od tej pory wieś rozrastała się. Ludzie rodzili się i umierali.

Czy Jan dowiedział się, skąd dobiegał tajemniczy szum, który zasmucał jego żonę? O tym to już innym razem...



SP

II MIEJSCE

pobit

DAWID CYGANOWSKI

Legenda o Księstwie Łeba

Urodziłem się w małej osadzie na mierzei, między Morzem Bałtyckim, a jeziorem Łebsko. Osada nazywała się Łeba. Ojciec mój był rybakiem, matka zajmowała się domem i pomagała ojcu sprzedawać ryby na pobliskim targu.

Chodziłem do szkoły wraz z moimi najlepszymi przyjaciółmi – Olkiem i Jackiem. Lubiłem się uczyć, ale bardziej lubiłem spotkania z kolegami po zajęciach. Ulubionym miejscem naszych spotkań były ruiny kościoła świętego Mikołaja. Kościół został zniszczony przez liczne sztormy, teraz został jedynie jego fragment.

Pewnej soboty, bardzo wcześnie rano, popłynąłem z ojcem zebrać sieci, które nastawiliśmy poprzedniego dnia. Podczas wyciągania sieci zobaczyłem w jednej z nich zapłątaną butelkę. Otworzyłem ją i w środku znalazłem kartkę. Po wyjęciu okazało się, że to mapa, na której zaznaczone były różne miejsca, a szlak kończył się w Lęborku. Mapę pokazałem ojcu, ale on również był zaskoczony moim znaleziskiem. Nic nie wiedział o mapie i miejscach na niej zaznaczonych, ale poradził mi, żebym skonsultował się z najmądrzejszym człowiekiem w Łebie. Po powrocie z rejsu od razu pobiegłem do starego rybaka zwanego tutaj - Pan Encyklopedia. Nazywano go tak, ponieważ wszystko wiedział, a kiedyś był nauczycielem mojego taty.

- Dobri dzień ! – przywitałem się.
- Dobri dzień ! Co cię do mnie sprowadza? – zapytał Pan Encyklopedia.
- Proszę pana, co pan wie o tej mapie? – zagadnąłem i pokazałem mu mapę.
- Chłopcze, to bardzo stara mapa i prowadzi do skarbu... skarbu Lęborka – wyjaśnił.
- Skarbu Lęborka? – powiedziałem z niedowierzaniem.
- Tak. To bardzo stary skarb. Sam zmarnowałem 10 lat na jego poszukiwaniach – powiedział zamyślony Encyklopedia.
- I jeszcze jedno chłopcze, podobno skarb ukryty jest w piwnicach lęborskiego ratusza – dodał.

- Wióldzi Bóg zapłać – powiedziałem i pobiegłem z mapą do domku na drzewie, gdzie czekali na mnie Olek i Jacek.

- No jesteś już Radku – powiedział Olek.

- Co tam trzymasz? – zapytał zaciekawiony Jacek.

- Panowie, oto mapa prowadząca do skarbu Lęborka – powiedziałem wyniośle.

- Co??? – zapytali jednocześnie.

- Encyklopedia powiedział mi, że ten skarb leży w piwnicach ratusza – wyjaśniłem.

- Mi też dziadek opowiadał o tym skarbie. Mówił, że w skrzyni jest złoto, diamenty i rubiny – powiedział Jacek.

- A ja słyszałem, że trzeba znaleźć trzy klucze, które znajdują się w trzech obiektach znajdujących się w Lęborku. Dzięki nim można otworzyć skrzynię – dodał Olek, bardzo zadowolony.

- Ciekawe, jakie to miejsca? – pomyślałem.

Następnego dnia postanowiliśmy wspiąć się na Górę Łącką i stamtąd zobaczyć Lębork. Na górze panowała cisza, a w oddali słychać było szum morza i krzyki mew. Lęborka nie zobaczyliśmy, gdyż z góry widać było tylko wodę i las.

Zdecydowaliśmy udać się ponownie do Pana Encyklopedii i dowiedzieć się czegoś więcej na temat skarbu.

- To znowu ty. Co tym razem? – zapytał.

- My w sprawie skarbu i kluczy do skrzynki – wyjaśniłem.

- To nie klucze, tylko kluczki. Pierwszy z nich znajduje się w Baszcie Kwadratowej. Kluczek jest w baszcie. Drugi jest na dnie fontanny z żabkami, a ostatni w Kościele świętego Jakuba – objaśnił Encyklopedia.

- A kluczek? – zapytałem.

- Niestety nie wiem, gdzie jest ostatni kluczek. Będziecie musieli odszukać go sami. Pewnie mapa wam w tym pomoże – oznajmił Encyklopedia.

- Jeżeli zdecydujecie się na wyprawę po skarb, to pamiętajcie, że trzeba zabrać dużo jedzenia, picia, mapę, koce i najlepiej to jeszcze trochę pieniędzy – poinformował nas Encyklopedia.

Po rozmowie z Panem Encyklopedią pobiegliśmy do domku na drzewie i planowaliśmy sobie, co będziemy robić dalej.

Następnego dnia obudził mnie krzyk Jacka. Zerwałem się z łóżka i wyrząłem przez okno. Jacek napełniał butelki wodą, Olek zbierał jagody, jabłka i truskawki. Wyszędłem przed dom i zapytałem:

- Panowie, co wy wyprawiacie?

- Przecież idziemy po skarb – odpowiedział Olek.

- Zbieramy zapasy – dodał Jacek.

- Dobrze, a ile już tego mamy? – zapytałem.

- Trzy litry wody, bochenek chleba i owoce – wymieniał Jacek.

- Wody musimy mieć dużo. Napełnijmy jeszcze jedną butelkę – powiedział Olek, wyciągnął butelkę z plecaka, podszedł do studni i napełnił butelkę wodą.

- Jedzenie mamy. Teraz tylko koce i pieniądze – powiedział Jacek.

- No dobrze. Załatwcie koce, a ja pieniądze – dodałem i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Po godzinie spotkaliśmy się przy kutrze mojego ojca. Powiedziałem rodzicom, że wyruszam na wyprawę. Mama próbowała mnie zatrzymać, a tata dał mi na drogę pieniądze oraz wędzone dorsze i śledzie.

- Chłopaki, mam tylko 20 złotych – powiedziałem.

- Może być - rzekł Jacek i dodał – My mamy trzy ciepłe koce.

- Mamy wszystko, czas ruszać – oznajmił Olek.

Spakowaliśmy jedzenie do dwóch plecaków, mapę, koce i pieniądze do trzeciego. Poszliśmy do Encyklopedii, aby dał nam jeszcze jakieś wskazówki.

- Dasz nam jeszcze jakieś wskazówki? – zapytał Olek.

- Chłopcy jesteście już gotowi. Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem wam – stwierdził.

- Mam dla was coś, co może się przydać. Założył mi na szyję rzemyk z nietypową muszlą, której nigdy wcześniej nie widziałem i dodał – To jest muszla Świętego Jakuba, która poprowadzi was do celu. Wszętczégò belnégò, do ùzdrzeniò.

- Bóg zapłać – powiedzieliśmy razem i ruszyliśmy.

Ruszyliśmy przed siebie. Szliśmy wzdłuż kanału portowego, po drodze mijaliśmy stare chaty rybackie, przed którymi rybacy klarowali siatki. Jednym z pracujących rybaków okazał się wujek Olka – Edward, który właśnie szykował się do wypłynięcia. Wuj pozdrowił nas z daleka, machając ręką.

- Dokąd idziecie chłopcy? – zapytał.

- Idziemy po skarb – odparliśmy i opowiedzieliśmy mu historię mapy znalezionej w butelce. Wujek Olka wysłuchał naszej opowieści, ale chyba nam nie uwierzył, bo na jego twarzy widziałem uśmiech. Mimo to zaproponował nam pomoc. Zaprosił nas na swoją łódkę i popłynęliśmy w kierunku jeziora Sarbsko. Przeplływaliśmy przez gęste trzcinowiska, w których różne gatunki ptactwa budowały swoje gniazda. Po pewnym czasie wypłynęliśmy na jezioro, a naszym oczom ukazał się piękny pałac, którego wieża wystawała ponad lasem.

- Panie Edwardzie, co to za miejsce? – zapytał zaciekawiony Jacek.

Pan Edward uśmiechnął się pod nosem i zaczął opowiadać.

Żył tam sobie gdzieś przed laty, starzec skąpy i bogaty.

Nie chciał ludziom nieść pomocy, nie pożyczał węgla, kocy.

Nie nakarmiłby głodnego, nie napoił spragnionego.

Wszystkich gonił równo z chaty, taki bogacz chamowaty.

Zamiast pomóc sąsiadowi, to „ci nie” prosto w twarz powie.

Na okrągło się wygrażał i „ci nie”, „ci nie” powtarzał.

A po śmierci sknery, jakiś młodzik się pojawił.

To był syn wredoty, następcą się sprawił.

Nowa bieda idzie, ludziska gadali.

Ksywę „nowe ci nie” mu chłopcy nadali.

Tuziemcy myśleli, że ów synuś, nowy pan na własnym dworze.

Ojciec świniowały, to i syn świnia.

Zamiast pomóc, to „ci nie” powie.

Lecz „nowe ci nie” był miły dla ludzi,

Pomagał im w życiu, skapstwa się brzydził.

I tak „ci nie” już nigdy nie wybrzmiało,

a wioskę od ksywy Nowęcinem zwano.

Po tej opowieści dobiliśmy do brzegu. Wujek Olka życzył nam szczęścia i popłynął dalej, a my poszliśmy obejrzeć pałac. Obeszliśmy go dookoła kilka razy, ale nikogo tam nie spotkaliśmy. Poszliśmy więc do pobliskiej stadniny, z której dochodziły nas jakieś odgłosy. Okazało się, że w stadninie był jeden koń. Zdziwiło nas to i już chcieliśmy wychodzić, gdy nagle usłyszeliśmy głos:

- Pomóście mi chłopcy...

Stanęliśmy jak wryci. Ponownie usłyszeliśmy głos i zauważyliśmy, że to koń do nas przemawia.

- Czekalem na was bardzo długo. Zostałem sam, weźcie mnie ze sobą.

Postanowiliśmy mu pomóc, wzięliśmy go ze sobą i ruszyliśmy dalej. Po drodze koń Zbyszek opowiedział nam o strasliwej chorobie, która dotknęła wszystkich mieszkańców.

- Część z nich zdążyła uciec, zabierając swój dobytek, ale moi właściciele umarli i musiałem sobie radzić sam do momentu, kiedy mnie znaleźliście.

Byliśmy już daleko za Nowęcinem, gdy na jednym z drzew zobaczyliśmy znajomy znak. Była to muszla, którą miałem na szyi. Wiedzieliśmy, że wybraliśmy dobrą drogę.

Po trzech godzinach marszu byliśmy głodni. Jacek wyjął bochenek chleba i rozdzielił go na cztery części. Po zjedzeniu i odpoczynku ruszyliśmy dalej. Zaczęło robić się ciemno, więc szukaliśmy schronienia. Znaleźliśmy gruby, duży dąb. Rozpaliliśmy ognisko, zjedliśmy, napiliśmy się i poszliśmy spać.

Nazajutrz obudził mnie Olek.

- Radek, wstawaj, nie ma Jacka!

Zerwałem się na równe nogi i zacząłem nawoływać Jacka.

Z oddali było słychać odpowiedź. Po chwili z krzaków wyłonił się Jacek.

- Nie uwierzcie mi. Nie mogłem spać i usłyszałem lamenty dębu, pod którym spaliście. Użał się nad swoim losem i poprosił mnie o pomoc.

- Co możemy dla niego zrobić? – zapytałem.

- To nie jest zwykły dąb, to jest chłopiec - Arkadiusz, którego wiedźma zamknęła w drzewie – wyjaśnił nam Jacek.

- Za co go tam zamknęła? – zapytał Olek.

- Arkadiusz był jej nieposłuszny. Aby go uwolnić, musimy do dziupli wrzucić złotą monetę – powiedział Jacek.

Zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy się, pożegnaliśmy się z Arkadiuszem i ruszyliśmy dalej. Dotarliśmy do Wicka i zobaczyliśmy piękne, zielone wzgórze.

- Tu odpoczniemy – powiedział Olek.

- A dlaczego tu? – zapytał przestraszonym głosem Jacek.

- Bo jesteśmy zmęczeni i musimy odpocząć – mruknął Olek.

- Ale tu są wiedźmy! – powiedział Jacek.

- Jacku, wiedźmy nie istnieją – zaśmiałem się.

Po chwili Jacek uspokoił się i postanowiliśmy odpocząć. Położyliśmy się na polanie, gdzie stał wielki kamień, na którym był znak krzyża i ślad stopy. Nagle coś zaszumiało w krzakach. Jacek obudził się i przeraźliwie krzycząc obudził nas wszystkich.

- Widziałem ją, tam w krzakach – krzyczał przerażony Jacek.

- Kogo? Kogo? – pytaliśmy.

- Cza.. cza.. czarownicę – jękał się Jacek. Miała wielki kapelusz i długie siwe włosy – wyjaśniał dalej Jacek.

- Tak i pewnie krogulczy nos? - dodał z ironią Olek.

Nagle zrobiło się ciemno, a nad naszymi głowami przeleciała czarna postać na miotle.

- Kto ośmiela się przebywać na moim terenie? – zapytała. To wzgórze należy do nas.

Byliśmy bardzo przerażeni i nie odzywaliśmy się.

- Wnoście się stąd, bo pożałujecie!

Nic nie mówiąc, oddaliliśmy się. Wychodząc z Wicka, doszliśmy do rozwidlenia dróg. Zastanawialiśmy się, która droga prowadzi do Lęborka. Po chwili koń Zbyszek znalazł na drzewie znak muszli. Znaczyło to, że znowu jesteśmy na jakubowym szlaku. Nagle na naszej drodze stanęła jakaś dziwna postać. Był to pielgrzym, który siedł do Sanktuarium świętego Jakuba Apostoła w Lęborku. Postanowiliśmy towarzyszyć mu w dalszej drodze. Pielgrzym opowiadał nam o swoich wędrówkach, a my o swoich przygodach. Zapropomował nam pomoc przy szukaniu klucza w kościele.

Pod Lębork dotarliśmy nocą. Miasto położone było w dolinie. Z daleka pod osłoną nocy światła w domach wyglądały jak żar ogniska. Zobaczyliśmy mury. To były mury otaczające Lębork. Byliśmy blisko celu. Jednak nie wiedzieliśmy, jak dostać się do miasta, gdyż bramy były zamknięte.

- Już wiem – powiedział zadowolonym głosem Olek i ciągnął dalej. Jutro jest sobota, dzień targowy. Do miasta zjeżdżać się będą kupcy ze wszystkich stron. Musimy wjechać z kupcami.

Rano okazało się, że pielgrzym i koń zniknęli, ale nie mieliśmy czasu, by ich szukać, bo do miasta zbliżali się kupcy. Podbiegliśmy do jednego z powozów i ukryliśmy się w nim. W ten to sposób znaleźliśmy się w centrum targowiska. Wskoczyliśmy z powozu i rozejrzeliśmy się po okolicy. Na targowisku można było kupić wszystko.

Były stoiska z warzywami i owocami, z rybami, miodem i z przedmiotami codziennego użytku. Można było też kupić zwierzęta hodowlane i wszystko, co można sobie wyobrazić.

Po wyjściu z rynku ukazała nam się piękna fontanna, a na niej osiem żab tryskających wodą. Było to jedno z miejsc, o których mówił Encyklopedia. Nie mogliśmy od razu wyjąć klucza, gdyż przy fontannie kręciło się mnóstwo ludzi.

- Poczekajmy do zachodu słońca – radził Jacek.

Po zachodzie słońca ulice były puste i bez wahania wskoczyliśmy do fontanny. Woda była zimna, ale wiedzieliśmy, że musimy to zrobić. Kluczek leżał na dnie, tak, jak mówił Encyklopedia. Po wyjęciu go z wody zastanawialiśmy się, gdzie spędzimy noc. Zobaczyliśmy stary powóz kupców i uznaliśmy, że to dobre miejsce. Wyjęliśmy koce, żeby się ogrzać i zasnęliśmy.

Następnego dnia zjedliśmy śniadanie i postanowiliśmy pójść po kluczek do Baszty Kwadratowej. Na miejscu okazało się, że drzwi do baszty są zamknięte, więc obeszliśmy ją dookoła. Zauważyłem, że w baszcie jest uchylone okno. Wspięliśmy się po murze i przez okno wskoczyliśmy do środka. Po schodach weszliśmy na górę. Długo szukaliśmy klucza. Straciliśmy już nadzieję na jego znalezienie, gdy nagle oparłem się o ścianę, a jedna z cegieł poruszyła się i wypadła. W otworze znaleźliśmy drugi kluczek.

Po znalezieniu klucza poczuliśmy wielki głód i udaliśmy się na obiad do Karczmy Rycerskiej. Zamówiliśmy pulki i śledzie w śmietanie.

Po obiedzie spotkaliśmy pielgrzyma, który obiecał nam pomoc. Zaprowadził nas do kościoła, gdzie uczestniczyliśmy we mszy świętej. Po mszy pielgrzym powiedział nam, że wie, gdzie znajduje się kluczek. Pokazał nam rzeźbę świętego Huberta – patrona myśliwych i odszedł. Kluczek był umieszczony w podstawie rzeźby.

Zadowoleni pomodliliśmy się i wróciliśmy do fontanny z żabkami. Postanowiłem kupić cukierki i sok, żeby świętować znalezienie wszystkich trzech kluczków. Po biesiadzie pod żabkami ruszyliśmy w kierunku ratusza.

Po dotarciu na miejsce wkradliśmy się po cichu do piwnic ratusza. Korytarze piwnic ratusza miały postać labiryntu. Długo błądziliśmy, gdy nagle zobaczyliśmy wielkie, metalowe drzwi. Na jednym ze skrzydeł drzwi był lew, a na drugim skrzydło muszla świętego Jakuba. Po środku drzwi był otwór w kształcie muszli. Zdjąłem muszlę z szyi i włożyłem ją w otwór.

W tym momencie drzwi otworzyły się, a my weszliśmy do środka. Wewnątrz paliły się pochodnie, które oświetlały drogę do wielkiego sejfu, w którym znajdował się skarb. Niestety, aby otworzyć sejf, trzeba było odpowiedzieć na zagadkę, której treść wyryta była na drzwiach. „*Co jest długie, męczące, lecz niezwykle?*”.

Zastanawialiśmy się strasznie długo, aż w końcu krzyknąłem:

- Wiem! To przygoda!!!

Włożyliśmy kluczek do trzech otworów, przekreśliśmy je i razem krzyknęliśmy głośno

- Przygoda!!!

Sejf otworzył się sam. Blask złota, diamentów, szmaragdów i kryształów oślepił nasze zmęczone oczy.

Poszedłem z Jackiem do burmistrza, aby powiedzieć mu o skarbie. Burmistrz pogratulował nam znaleziska i powiedział, że skarb należy do nas.

Zapakowaliśmy skarb i poszliśmy na rynek. Po drodze spotkaliśmy konia Zbyszka, który zaproponował nam pomoc. Na rynku kupiliśmy powóz, w którym wcześniej spaliśmy. Zapakowaliśmy nasz skarb, pożegnaliśmy się z burmistrzem i pielgrzymem i ruszyliśmy do domu.

W drodze powrotnej mijaliśmy wszystkie znane nam miejsca. Dotarliśmy do Ulini, gdzie znajdował się dąb Arkadiusz.

- Zbyszku, zatrzymaj się! Pamiętasz, obiecałem Arkadiuszowi, że mu pomogę – powiedział Jacek.

Jacek zeskoczył z wozu i pobiegł do dębu. Do dziupli wrzucił złotą monetę i w ten sposób uwolniliśmy chłopca.

Po kilku godzinach dotarliśmy do Łeby. Czekali tam na nas wszyscy. Witali nas ogromnymi brawami i okrzykami. Pokazaliśmy im nasz skarb i obiecaliśmy, że za niego zbudujemy Łebę wielką i bogatą.

Potem wyprawiliśmy wielką ucztę, na której wszyscy jedli, pili i bawili się, ciesząc się z naszego powrotu. Zostałem okrzyknięty księciem Łeby, a dzień ten uznany został dniem Łeby, obchodzonym co roku.

Sejf otworzył się sam, a my weszliśmy do środka. Wewnątrz paliły się pochodnie, które oświetlały drogę do wielkiego sejfu, w którym znajdował się skarb. Niestety, aby otworzyć sejf, trzeba było odpowiedzieć na zagadkę, której treść wyryta była na drzwiach. „Co jest długie, męczące, lecz niezwykle?”.

„Legenda o cewickiej kuźni i złotej podkowie”

Dawno, dawno temu w pobliżu Lęborka znajdowała się niewielka wioska Cewice. Położona była wśród przepięknych lasów i kwiecistych łąk. Nad jeziorkami w jej pobliżu fruwały stada dzikich kaczek i szarych gęsi. Sarny i jelenie pasły się na zielonych polanach. Stało tam kilka drewnianych chatek.

W jednej z nich mieszkał ubogi Tycjan. Był wdowcem i sam wychowywał czternastoletnią córkę Elenę. Dziewczyna bardzo dbała o swojego ojca. Gotowała obiady i sprzątała małe izdebki. Dbała też o zwierzęta, które posiadali. Pasła łaciątą krowę Gizele, która dawała im pożywne mleko. W niedużej obórcie trzymali dwie małe owieczki- Jowitę i Felicję. Całego gospodarstwa pilnował pies Tytus.

Obok domu mieściła się stara kuźnia. To tutaj ojciec Eleny pracował od świtu do nocy. Całymi dniami w gorącym piecu wypalał podkowy dla koni, gracie, motyki. Potrafił wykuć kosę, sierp, przyrząd do mierzenia długości obręczy kół. Był kowalem znanym w Cewicach i okolicznych miejscowościach. Przed kuźnią w małym bajorku Tycjan chłodził rozżarzone w piecu różne metalowe przedmioty.

Pewnego razu przejeżdżał przez Cewice bogaty niemiecki magnat Paul Klaustüber. Jego przepiękny złocony dyliżans ciągnęły cztery kare konie. Każdy z nich miał lśniąca grzywę i długi mocny ogon. Jeden z koni, tuż pod Lęborkiem, zgubił podkowy, co znacznie utrudniało jazdę. Magnat zmartwił się bardzo, bo do Berlina, do którego zmierzał była długa droga.

Kiedy zbliżał się do Cewic, ujrzał spacerującą młodą dziewczynę. Dobrze znał język polski, więc bez wahania otworzył drzwi swojego powozu, wyszedł i zapytał:

- Witam cię młoda damo! Nie wiesz, gdzie znajdę kowala?- odrzekł bogaty magnat. - Mój koń Damazy zgubił cztery podkowy .

-Postaram się panu pomóc- rzekła uprzejmie Elena. Myślę, że trafił pan pod dobry adres, bo właśnie mój tato jest kowalem.

- Znakomicie! Czy daleko mieszka twój ojciec?- ponownie zapytał nieznajomy.

- Nie! To zaraz za tym małym drewnianym mostem- odpowiedziała.

Paul Klaustüber podziękował dziewczynie za okazaną pomoc i podążył w kierunku słynnej kuźni Tycjana.

Gdy Elena dotarła do domu, ojciec w pocie czoła wypalał kolejne metalowe podkowy. Każdą z nich skrupulatnie przyczepiał do kopyt konia Damazego. Potem sprawdził podkowy u pozostałych trzech koni. Wszystkie były całe i mocno przytwierdzone do kopyt.

Pan Paul Klaustüber serdecznie podziękował za okazaną pomoc i wręczył zmęczonemu już Tycjanowi sporą sakiewkę dukatów.

-To na szczęście!- rzekł magnat. -Niech wam się dobrze wiedzie! Może jeszcze tu wrócę...

Uczciwy kowal zaproponował, aby konie ochłodziły się przed daleką podróżą. Woźnica odczepił każdego z nich i pokierował do bajorka. Wszystkie cztery konie ochoczo wskoczyły do wody i wypłuskały się. Zadowolony pan ponownie podziękował Tycjanowi i odjechał .

Następnego ranka, kiedy Elena szła nakarmić swoje zwierzęta, do bajorka wpadła mała metalowa kanka, w której niosła mleczko dla Jowity i Felicji. Dziewczyna pochyliła się nad lustrem wody i wyłowiła coś bardzo dziwnego. Jakie było jej zdziwienie, gdy w ręku ujrzała zamiast kanki- złotą podkowę! Nie zwlekając pobiegła z tą nowiną do ojca.

-Tato! Spójrz, co znalazłam w naszym jeziorku- odrzekła Elena.

-To przecież złota podkowa! Skąd się tutaj wzięła?- zapytał zakłopotany. -Przecież koń Damazy miał zwykłe podkowy, a pozostałe konie też...

Spracowany mężczyzna powiesił podkowę na jednej ze ścian kuźni. Od tej pory Tycjanowi i jego córce wiodło się znacznie lepiej. Do Cewic przyjeżdżało wielu ludzi, by podziwiać magiczną podkowę. Niektórzy zamawiali pierwsze wasagi i brony. Z czasem kowal i jego kuźnia stała się najsłynniejszą kuźnią nie tylko w okolicy, ale i na całym Pomorzu. A podkowa lśniła szczerym złotem... Niektórzy mówili, że jest złota, bo Tycjan ma szlachetne i złote serce. Im więcej ludzi ją podziwiał, tym stawała się bardziej lśniąca i błyszcząca.

Wkrótce stary i chorowity kowal umarł. Smutna był Elena.

Wraz z odejściem ojca stało się coś bardzo dziwnego. Słynna i niegdyś złota podkowa zmieniła swą barwę. Straciła swój dawny blask i pokryła się rdzą.

Minęły lata. Wioska Cewice stała się dużą wsią, ludną i piękną. Do
dziś po kuźni i Tycjanie pozostała ta legenda. A podkowa wisi nadal,
ale nikomu nie udało się rozwiązać zagadki, kto był jej
właścicielem...

© pszyk de

poprawnie, zenna

diutor

Wolde tajemniczy parkan

© 26/11/2014 11:00:00

SZKOŁY GIMNAZJALNE

I MIEJSCE

Legenda Błękitnej Krainy
Herb - Jeżyk

JAKUB NASTAJ

18-12-2015

Gmin. „Znikająca Wieś”

Niedaleko nas, tuż za taflą pięknego jeziora i za ścianą gęstego, zielonego lubowidzkiego lasu, znajduje się wieś zwana Sokołówką. Nie jest to zwykła wioska, jak te, które otaczają Lębork. Jest to Znikająca Wieś.

Nikt już nie pamięta, kiedy umarł ostatni mieszkaniec owej miejscowości, ale pewnie jest, że obecnie Sokołówkę zamieszkują tajemnicze zjawy. Kto, szukając grzybów, jagód lub choćby przygód zapuści się w lasy, które porosły Sokołówkę, ten natychmiast się na fundamenty starych zabudowań. Ogromne, przepastne piwnice starego dworu zostały zawładnięte przez korzenie porastających je drzew. A piękny był to kiedyś dwór. Od wschodu i zachodu otoczony przez zabudowania folwarczne. Posiadał własną gorzelnię i młyn, a po horyzont ciągnęły się pola i łąki i lasy należące do dworu.. Mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy przychodzili tam na odrodek, nieraz opowiadali o zaradnym gospodarzu, który parobków dobrze traktował, a dla dzieci chłopów szkołę otworzył, żeby „ciemnota” się nie szerzyła. Dobrze się żyło w Sokołówce do czasu, aż gospodarz postanowił wybudować kościół. Skoro Lubowidz i Rozłazino miały swoje świątynie, nieliczni mieszkańcy Sokołówki również chcieli mieć swój kościół, tym bardziej, że do Lubowidza na niedzielną mszę szło się przez las siedem kilometrów w jedną stronę. Latem była to jeszcze wspaniała wyprawa, bo i po drodze grzybów i jagód można nazbierać. Zimą mieszkańcy rzadko mogli wyjść do kościoła. Lasy zasypane śniegiem, wcześniej zapadający zmrok, grasująca po lesie groźna zwierzyna nie zachęcały do dłuższych wypraw, a ludziom bardzo brakowało kościoła we wsi, w szczególności w okresie świąt Bożego Narodzenia. Nie było gdzie szopki postawić, kolęd pośpiewać. Poszli więc, o pomoc do dworu, gospodarzowi swój zamiar budowy kościoła przedstawić. Gospodarz, człowiek mądry i bogobojny przychylił się do prośby chłopów i obiecał, że na wiosnę rozpocznie się budowa kościoła. Nie wszyscy jednak byli szczęśliwi z planów powstania we wsi świątyni. Gdy dowiedział się o tym diabeł, któremu brak kościoła we wsi wcale nie doskwierał, postanowił pokrzyżować plany chłopów i nie dopuścić do powstania Domu Bożego. Oj, chytry plan już diablisko obmyślił. Musiał tylko poczekać do wiosny, do pierwszych roztopów.

Wiosna owego roku przyszła szybko. Rozkwitła tysiącem kwiatów na łąkach i drzewach, zazieleniła pola, zaświeciła ciepłym słońcem, roztopiając ostatnie połacie śniegów pod lasem. A diabeł tylko na to czekał. Wygramolił się ze swojej rozpadliny, ubrał odświętny surdut, schował ogon w nogawkę, przyczesał skołtunioną grzywę, kapeluszem rogi nakrył, a na nogi wsunął trzewiki, co by kopyt nie było widać i z teczka (rodem z piekła) do dworu się udał. Do drzwi zastukał i o gospodarza zapytał:

- Czy jaśnie pan w domu? Jestem architektem prosto z Florencji- rzekł, jaśnie pan podobno do budowy świątyni architekta szuka. Sługa uniżony Mefistollo Rokittyni – przedstawił się diablisko.

Odźwierny, widząc światowego człowieka, wprowadził go do biblioteki, a sam poszedł po gospodarza, aby przybysza przyjął. A tak zachwalał nieznanego, jakby co najmniej biskupa przyjmował.

- Sam widziałem jaśnie panie, cóż za postawa! Cóż za ubiór! Cóż za wykształcenie! Podobno z polecenia samego papieża przyjechał, aby nam kościół pobudować.

Gospodarz ze zdziwieniem słuchał swojego sługi, bo skąd niby ten obcy o budowie kościoła w Sokołowie mógł wiedzieć? Przecież z biskupem jeszcze nie rozmawiał, a ten przybysz z polecenia papieża z samej Florencji przybył? Dziwna sprawa – myśli - ostrożnym być trzeba, złego wokół nie brakuje. Mało to takich, co na krzywdzie ludzkiej chcą się dorobić? I tak pogrążony w myślach doszedł do dworu, wszedł do biblioteki i z nieznanym florentyńczykiem ostrożnie zaczął się witać.

- Co właściwie w moje skromne progi sprowadza? rzekł gospodarz, przyglądając się bacznie nieznanemu.

- Będąc w Rzymie z audiencją u papieża usłyszałem, że świątynię chcecie pobudować – zaczął diablisko.- A żem sławny architekt, i człowiek wielce zacny i pomocny bliźniemu, swe usługi Panie chcę ci ofiarować.

I tu Mefistollo Rokittyni zaczął roztaczać przed gospodarzem plany budowy wspaniałej świątyni. Tak, świątyni właśnie, nie kościoła jak to zauważył gospodarz, bo w trakcie całej rozmowy ani razu diabeł nie wypowiedział słowa, od którego język kotkiem mu stawał, mianowicie kościół. Dobrze on wiedział, że kościół jest dla Boga, a świątynie mogą mieć różne bóstwa. W tym właśnie tkwił cały plan diabła.

-Bo widzisz jaśnie panie, świątynia będzie z kamienia granitowego, kryta miedzianą blachą, w oknach będą kryształowe szyby, a drzwi dębowe, ławy bukowe, organy... mówił diablisko i mówił, i wychwalał swój projekt, i nawet szkice pokazywał, które w teczce przyniósł.

Gospodarz słuchał coraz uważniej, rysunki oglądał, o szczegóły wypytywał.

- Bryła świątyni rzeczywiście zachwycająca - stwierdził. - Ale jedno mnie zastanawia panie architekcie- rzekł. - Dlaczego nigdzie nie umieściłeś posągów naszych wielkich świętych? Dlaczego na ścianach brakuje świętych obrazów i krzyża w prezbiterium? Wszak ma to być świątynia boża, a nie stodoła do zabaw!

- Oj tam, oj tam jaśnie gospodarzu – odparł czart. - Do wybudowania jeszcze wiele czasu mamy, rzeźby i malunki na końcu wybierzemy, a teraz jak waść pozwolisz cyr... to znaczy umowę podpiszmy i do pracy przystąpmy. Diablisko chytrze się uśmiechnął, że kolejną naiwną duszę przechytrzył i piekielną umowę z teki wyjął, by czym prędzej inwestorowi do podpisu podsunąć, aby ten nie mógł już się wycofać.

Gospodarz po umowę sięgnął i czytać począł, gdy wtem Mefistollo z rąk mu ją wyrwał, proponując, że po krótko streści wszystkie zapisane tam paragrafy. Wszak nie mógł diabeł pokazać, że ta umowa to piekielny cyrograf, na mocy którego w wybudowanej

świątyni będą czczone pogańskie bóstwa. Dlatego też w świątyni, nie zaplanował ani posągów ani obrazów świętych. A jeżeli któryś z mieszkańców Sokołówki przestąpi próg świątyni, mając przy sobie choć by maleńki obrazek czy medalik świętego, Matki Bożej lub Jezusa, to cała wieś zapadnie się pod ziemię i słuch po niej zaginie.

I czytał Czart wymyślone na poczekaniu warunki umowy, roztaczając wizję wspaniałej budowli, dzięki której Sokołówka stanie się znanym w całej Europie miejscem kultu. Gospodarzowi spodobała się umowa, zapytał tylko o kilka szczegółów.

- Panie architekcie, a o kosztach i terminie zakończenia prac nic nie ma w umowie? Wszak taka inwestycja musi немало kosztować. Mnie stać ledwo drewniany kościółek ufundować, o murowanym już nie wspomnę. A i moi ludzie, mieszkańcy wsi, kościół na tegoroczne Boże Narodzenie widzieć już by chcieli i Pasterkę w nim odprawić radzi.

- Podpisz waści umowę dziś, a od jutra pracę zaczniemy. Diabląt, to znaczy robotników ci przysłę, a o fundusze się też nie martw, mój papież nas wesprze. Mefistollo uśmiechnął się chytrze, mamrocząc po cichu do siebie co by też Belzebub powiedział, że papieżem go nazwałem? Głośniejsze zaś dodał – Gospodarzu decyduj się szybko, bo w Gdańsku na mnie czekają, gdzie mam równie wspaniałą świątynię budować. Wóz albo przewóz. Masz tu inkaust, pióro gęsie, usiądź przy ławie i podpisz. Wszak sam widzisz, że warunki dogodne a majątku na tym nie stracisz. I tak nalegał, tak swój plan wychwalał, że omamiony i naiwny chłopina cyrograf podpisał, a przy tym duszę i swoją i mieszkańców wsi diabłu ofiarował.

Następnego dnia już od świtu ruszyły prace nad budową świątyni. Mefistollo Rokittyni jak powiedział, tak zrobił. Stu silnych diabelskich robotników sprowadził. Budowa migiem posuwała się na przód. Co niektórzy mieszkańcy Sokołówki mawiali między sobą, że to chyba szatańska robota, skoro w ciągu jednego zaledwie lata postawiono kościół, którego budowa powinna trwać minimum trzy lata. Ale tak im zależało, żeby tegoroczną pasterkę odprawić już u siebie we wsi, że nie zwracali uwagi ani na dziwnych robotników ani na jeszcze dziwniejszego architekta. Tylko spostrzegawcze dzieci nieraz widziały, jak niejednemu murarzowi a to rogi spod czapki wystawały, a to ogon z nogawki roboczych spodni się wysunął, czy na rozmokłym po deszczu gruncie ślady kopyt było widać.

Jesienią już dach na pięknym budynku ułożono. Błyszczała się w promieniach słońca miedziana kopuła. Jeszcze tylko marmurowe podłogi, ołtarze i ławy wstawić trzeba i na Boże Narodzenie Mszę świętą odprawić będzie można. Cieszyli się chłopci, cieszył się gospodarz, diabeł ręce zacierał, lecz każdy radował się z innego powodu. Naiwni ludzie, myśleli, że będą mieć kościół, a czart, że nowe dusze posiadzie.

20 grudnia świątynię ukończono. Architekt i jego załoga zebrali powinszowania i gratulacje za szybko wykonaną pracę. Sam gospodarz zaprosił wspaniałego budowniczego do siebie na pożegnalną kolację, bo Mefistollo Rokittyni już 24 grudnia we Florencji musiał się stawić i przełożonemu zdać sprawozdanie z przebiegu budowy. W rzeczywistości diablisko do samego piekła miał się udać, aby przekazać swojemu Panu, że plan się powiódł i już niedługo wszystkie sokołówkowe duszyczki będą jego. Nie przewidział tylko jednego. Otóż dzieci koniecznie chciały w kościele postawić szopkę. Gdy dorośli pomagali przy budowie, chłopcy podczas wypasów rzeźbili anioły, pastuszków, trzech królów i świętą

rodzinę. Dziewczynki szyły szatki dla Jezuska, Maryi, Józefa i pasterzy. A stary bartnik Bartłomiej, który nie tylko pszczołami się zajmował, ale i zręcznym rzeźbiarzem był, przepiękny krzyż z Jezusem wyrzeźbił, który nad prezbiterium miał zawisnąć. Figurki poświęcili w parafii w Lubowidzu, w tajemnicy przed rodzicami, aby im niespodziankę na pasterce zrobić. I tak z samego rana w wigilię Bożego Narodzenia dzieci wraz z Bartłomiejem udali się do kościoła, żeby szopkę ustawić i krzyż powiesić. W kościele brakowało i świętych obrazów, i świętych figur, więc chociaż szopka i krzyż miały oznajmić, że to świątynia boża. Ledwo jednak przekroczyli progi budowli niosąc poświęcone dary, we wsi rozpętało się istne piekło. Świątynia zaczęła się walić, a wraz z nią inne budynki i domy mieszkańców. Dwór zapadł się pod ziemię. Nawet po wiatraku, który stał kilka kilometrów dalej nie pozostał żaden ślad. Mieszkańcy natomiast zostali zamienieni w zjawy, które do dzisiaj blłąkają się po lesie.

Ten kto 24 grudnia zapyści się w lasy nieopodal Lubowidza i dotrze na Sokołówkę na własne oczy zobaczy Znikającą Wieś, która pojawia się tylko jeden raz w roku, w Wigilię Bożego Narodzenia jako przestroga, żeby nie ufać złu, które za wszelką cenę pragnie naszej zguby. Wybawić ich dusze tylko może postawienie prawdziwego kościoła i poświęcenie ziem wokół. Może ktoś z was kościół ufunduje i księdza sprowadzi, aby czarcia ziemię poświęcił i biedne dusze wybawił?

GIMN.
II MIEJSCE
mika08765

ZOFIA KLATA

Legenda o lęborskich trociach

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami... Nie, nie, nie. Nie cierpię tego oklepanego wstępu, zwłaszcza, że akcja utworu dzieje się może i dawno, ale nie w aż tak odległych czasach i wcale nie daleko, tylko tu w naszym kochanym, starym Lęborku. No więc zacznijmy jeszcze raz:

Witajcie! Pozwólcie, że na razie nie zdradzę swojej prawdziwej tożsamości. Sami możecie nadać mi imię. Ludzie mówili o mnie różnie. Nazywali mnie Szumem Wiatru, Duchem Przygody, Samotnym Wędrowcem, ale do tej pory udało się rozwiązać tę zagadkę tylko bohaterowi dzisiejszej opowieści, Dobrosławowi, dzięki któremu zagościłem w ówczesnym Lewinburgu.

Pewnej nocy Dobrosława nawiedził duch. Zjawa była wielka, przypominała połączenie lwa ze smokiem. W pierwszej chwili młodzieniec przeraził się, jednak głęboko w jego sercu drzemała chęć do walki, sięgnął więc po miecz.

- Nie trudź się, jam jest Duch Miasta, w mych żyłach nie płynie krew, a skóry nie podtrzymują kości, nie możesz więc wyrzucić mi krzywdy twą bronią - rzekł stwór.

- Kim więc jesteś i po co przybywasz? - spytał nasz bohater.

- Nie mogę już dłużej patrzeć na to, jak niszczy miasto, którego jestem współzałożycielem. Przyszedłem dać ci radę. Język mój rozumieją nieliczni, a wskazówkę usłyszą wybrańcy, ci, którzy zmienić mogą bieg wydarzeń, ci o czystym sercu, ci rozsądnie czyniący. Słuchaj uważnie i czyn, jako powiem:

„Ojczyzna twoja w niebezpieczeństwie
jedynie dusza ocalić cię może,
siła tkwi w twoim męstwie
nikt inny w zadaniu ci nie pomoże.

Braci przekonaj do czynów ich zmiany.
Pamiętaj, jedynie imię wędrowca,
co dawno w tym mieście nie był widziany,
odsunąć ludność tę może od grobowca,
co z kamienia twardego wykonany.”

Po tych słowach zniknął i nie pojawił się już przez całą noc.

Dobrosław długo rozmyślał o tym, co usłyszał od tajemniczego gościa.
„... Ci o czystym sercu, ci rozsądnie czyniący...” - to zdanie długo brzęczało mu

w uszach. Gdy przez kilka dni nie mógł zrozumieć sensu słów nieznajomego, udał się na spowiedź do miejscowego kapłana. Po otrzymaniu rozgrzeszenia, modląc się w kościele, z niepokojem obserwował, jak kolejna młoda dziewczyna, umierająca z głodu, przyjmowała ostatni sakrament. Wpatrując się w jej śliczne, alabastrowe czoło i modre oczy zaczynał rozumieć, jak poważne jest owo tajemnicze niebezpieczeństwo, czyhające na jego małą ojczyznę, którą był od dłuższego czasu Lewinburg: długotrwała susza zniszczyła już większość upraw, a władze biednego grodu nie miały pieniędzy na zakup towarów z sąsiednich osad. Ludności pozostawała jedynie zdatna do picia woda, którą czerpali z rzeki płynącej przez miasto.

Nikt nie potrafił znaleźć rozwiązania. Tylko Dobrosław miał jeszcze nadzieję, że uda mu się odkryć imię „Wędrowca”. Ba, ale jak to zrobić? Wracając do swojej chaty młodzieniec myślał tak: „Nie słyszałem, aby ktoś znaczny odwiedzał kiedykolwiek naszą osadę. Niemożliwością jest więc, aby duch mówił dosłownie. Męstwo... Na co mi męstwo, jeżeli nie rozumiem tak prostej zagadki. Ale człowiek o czystym sercu? Odkąd mieszkańcy zaczęli źle postępować, oddawać się swarom i kłótniom i stali się rzadni władzy, pieniędzy i skarbów, brakuje nam żywności. Imieniem nieznajomego musi być Dobro. Tylko jak ja, prosty chłop, mam przekonać ludzi do zmiany ich postępowania?”

W ten oto sposób Dobrosław odkrył moje imię.

Następnego dnia, przemyślawszy nocą, jakie kroki powinien podjąć, ruszył na wieżę miejskiego kościoła Jakubowego. Już prawie stawał na pierwszym schodku, gdy nagle pojawił się mały, ale od dawna siejący postrach skrzat. Ubrany był w czarne spodnie, z ust wystawały mu ogromne, białe kły, a po szyi spływała stróżka ciemnej krwi.

- Stój, głupcze! - krzyknął.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał nieustraszony młodzieniec.

- Dobrze wiesz, że pokarmem dla mnie są dusze grzeszników. Jeżeli nakłonisz ludność do czynienia dobra, czym wtedy się najem? Ostrzegam, nie będę tolerował takiego zachowania! Jeżeli sprzeciwisz się mojej woli, zginiesz w strasznych mękach, a twoje ciało nie zostanie należycie pochowane.

- Dobro moich przyjaciół jest dla mnie ważniejsze od mego życia.

- Rób jak uważasz, ale zapamiętaj: droga na szczyt nie będzie łatwa - to powiedziawszy skrzat zaśmiał się złowieszczo i zniknął.

Biedny Dobrosław nie wiedział, jakie niebezpieczeństwa na niego jeszcze czyhają, ale kroczył niestrudzenie naprzód. Już po kilku stopniach poczuł ból i dziwny niepokój. Kilka kroków dalej niespodziewanie wyskoczył zza węgła zionący ogniem smok. Przerażony chłopak drżącymi rękami sięgnął po miecz umieszczony w pochwie przytroczonej do paska jego spodni. Jednym zwinnym ruchem odciął głowę bestii i z bijącym sercem pognął ile sił w nogach po stromych schodach, mając nadzieję, że dojdzie do celu bez kolejnych niespodzianek. Niestety, po chwili niepokój jego przybrał na sile, a oczy

spoczęły na nienaturalnie pięknej twarzy czarownicy. Jej wielkie, czarne jak smoła źrenice były skierowane prosto na oczarowanego jej urodą młodzieńca. Wiedział on jednak, że powinien czym prędzej wzrok odwrócić, by nie paść ofiarą podstępного czaru. Nagłym ruchem silnej ręki odtrącił niewiastę i nie bacząc na nic, krok po kroku piął się schodami na wieżę. Już, już miał otwierać drzwi. Już, już miał ujrzeć dzwon kołyszący się na wiosennym wietrze, gdy nagle błogą ciszę przerwał donośny krzyk najprawdziwszego diabła.

- Więc jednak zlekceważyłeś słowa mego wysłannika, którego zastałeś na początku swej drogi. Musisz ponieść karę! - to mówiąc, stwór ugryzł Dobrosława w łydkę, zostawiając na niej czarne ślady swych zębów, co oznaczało skazanie go na pośmiertne męki piekielne.

Nie zważając na ból spowodowany ukąszeniem i na strach, który w sercu biednego młodzieńca zasiało spotkanie z tak strasznym stworzeniem, nasz bohater wszedł do małej izdebki na szczycie wieży kościelnej, w której znajdował się dzwon, używany przez pobożnych kleryków do obwieszczania jutrzni, nieszporów oraz mszy świętych. Stanąwszy przy sporych rozmiarów oknie zakrzyknął: „Słuchajcie ludzie!”, po czym opowiedział o swoim nocnym spotkaniu z Duchem Miasta i o tym, czego się od niego dowiedział. Po jego słowach plac miejski znajdujący się u stóp kościoła rozświetlił dziwny blask, serca mieszkańców oczyściły się z grzechów, wszyscy poczuli niewypowiedzianą radość i postanowili porzucić wszelkie złe uczynki. Wiedzieli, że nic już nie będzie takie samo. Gdy tłum zaczął się powoli rozchodzić, rozbrzmiał donośny głos stwora, który nocą nawiedził Dobrosława. Do uszu zebranych dotarły słowa: „Wasz brat dobrze się spisał. Dzięki jego zasługom nigdy nie zabraknie wam już pożywienia. W nagrodę sprawię, że co roku do waszego miasta będą przyływać całe ławice troci na tarło. A ciebie, Dobrosławie wykupię od diabła.”

Jak widzicie, Duch Miasta spełnił swoją obietnicę i aż do dnia dzisiejszego możemy obserwować te cudowne ryby, nie gorsze od pstrągów czy łososi, przemierzające wody naszej czystej rzeki Łeby. Zapewne każdy z was obserwował niejedną raz wędkarzy, którzy od wiosny do jesieni cierpliwie siedzą w zaroślach na brzegu, czekając, aż chwyci przynętą i wędka głębiej zanurzy się w wodzie.

Pamiętajcie! Chciwość nie popłaca, a najpiękniejsze dary rodzą się, gdy w naszych sercach gości dobro i miłość do bliźniego. Często nie zauważamy, że aby dokonać wielkich czynów, potrzebna jest tylko ta mała, „czysta” część naszego serca. To WY możecie wpuścić mnie do WASZEJ małej „ojczyzny”, tak jak zrobił to Dobrosław.

Do widzenia!!!!!!!

GIMN. III MIEJSCE

JULIA KOCHANOWSKA

Królewna Śnieżka

Gimn.
Legenda o powstaniu Łeby

Dawno, dawno temu żył pewien gad o imieniu Mieszko. Był kameleonem o barwie zależnej od pogody i nastroju. Miał on towarzyszkę – urodziwą langustę nazywaną Ludomirą. Ich stałym miejscem spotkań była skała przy kościele św. Mikołaja. Zdołała to odczytać Ludomira, która wbrew pozorom była stworzeniem odczytanym i inteligentnym.

Niedaleko znajdowała się miejscowość o nieznanym nazwie. Mieszkało tam wielu ludzi, zarówno tych zamożnych, jak i ubogich, o czym Mieszko dowiedział się przypadkowo, wędrując wzdłuż morza w poszukiwaniu jedzenia. Ludomira wielokrotnie zwiedzała brzeg na grzbiecie swojego przyjaciela. Byli bardzo zgrani. W zamian kameleon mógł obejrzeć świat wodny, co bardzo mu odpowiadało ze względów żywieniowych. Był smakoszem, lubił próbować nowych rzeczy, tak jak w prawdziwym życiu. Kochał ryzyko i adrenalinę. Nie cierpiał nudy i bezczynności, co nieraz przysporzyło mu problemów. Pewnego dnia, wędrując po lądzie, spotkał człowieka, który ni stąd, ni z owąd, znalazł się poza granicą wioski. Dżungla nie była miejscem, w którym można było spotkać ludzi. W jak wielkie zdziwienie wpadł Mieszko, gdy owego człowieka zobaczył, to trudno opisać. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie celował on ze swej strzelby prosto w głowę gada. To był moment, w którym kameleon potwierdził swoją tajemną teorię o złych intencjach ludzi. Począł uciekać, by następnie znaleźć bezpieczne schronienie. Kiedy zdał sobie sprawę, że nic mu nie grozi, postanowił poinformować o wszystkim Ludomirę.

- Witaj ! - przywitał swoją przyjaciółkę.
- Cześć ! - odrzekła mu uradowana.
- Nie zgadniesz co mi się przytrafiło. Wędrowałem spokojnie brzegiem morza, kiedy zobaczyłem człowieka. Co gorsza, chyba chciał mnie zabić. Już dawno chciałem ci powiedzieć, ale szukałem dowodów na ich złe zamiary i nieczyste dusze. Trzeba to zgłosić, Ludomiro. W końcu jesteśmy zobowiązani to zrobić.
- Rzeczywiście, masz rację. Potrzebujemy jednak więcej argumentów. Musimy przeprowadzić obserwację i doświadczenie. Jutro możemy zacząć.
- No więc, do zobaczenia ! - odpowiedział Mieszko i wrócił na ląd w poszukiwaniu miejsca na sen. W końcu ułożył się na wysokiej palmie i zasnął.

Nazajutrz o świcie udał się na skałę i zabrał ze sobą przyjaciółkę. Po kilku minutach dotarli pod pierwszy dom w wiosce. Będąc za płotem, mogli swobodnie obserwować ludzi bez obawy bycia zauważonymi. Zobaczyli w oknie kobietę. Była wystraszona, zapłakana i spanikowana. Nagle pojawił się mężczyzna. Uderzył ją w twarz i zaczął krzyczeć. Ludzie są

agresywni. To mogli stwierdzić już na początku. Udal się dalej. Dotarli na dość duży rynek i chowając się za jednym ze straganem, kontynuowali podglądanie mieszkańców. Pewien człowiek kupił chyba wszystkie rodzaje chleba i mięsa dostępne na targu. Przy starych kamienicach siedział żebrak. Prosił innych o pajdę pieczywa, lecz nikt się nad nim nie zlitował. Jednak pan z dwoma siatkami jedzenia nie przeszedł obojętnie. Wyjął, zakupiony wcześniej chleb i na oczach biedaka połknął go prawie w całości, złośliwie się śmiejąc. Obserwatorzy mieli dość. Ludzie są samolubni i okrutni. Stwierdzili, że to wystarczające dowody, aby poinformować o zaistniałej sytuacji Pana. Mieszko odprowadził Ludomirę, a następnie ponownie ~~ponownie~~ udał się w głąb lądu, aby się zdrzemnąć.

Nazajutrz miał stawić się u Pana. Z tą myślą odszedł w objęcia Morfeusza. Wstawszy, od razu pobiegł na miejsce spotkania. Ludomira już na niego czekała. Teraz pozostało tylko wezwanie. Był to cały rytuał. Na początek Mieszko udał się do lasu po ofiarę i jeden obszerny liść palmy. Oboje wrócili z niewielkimi łupami. Kameleon przyniósł dorodną muchę, a langusta wynurzyła się z małą małżą. Oba dary położyli na liściu i puścili, aby popłynęła w stronę słońca. Po odczekaniu dwóch godzin, z głębin wyłonił się Pan. Wszechmocny, nieznoszący sprzeciwu Pereplut.

- Po co mnie wzywacie?! Lepiej miejcie dobry powód do przerywania mego spokoju! - zagrmiał groźnym głosem.
- Chodzi o ludzi w wiosce. Są okrutni, krzywdzą siebie nawzajem i nas również. Nie szczędzą również agresji i wyzwisk. Myślimy, że nie znają podstawowych wartości. Kierują się jedynie materializmem i interesownością ... - zaczął Mieszko.
- Cóż ... tak być nie może! Możecie być pewni, że spotka ich kara, a was nagroda. - powiedział Pan, po czym zniknął tak szybko, jak się pojawił. Ludomira i Mieszko odetchnęli z ulgą. Wiedzieli, że sprawiedliwość zostanie wymierzona. Po chwili przestali być pewni swojej decyzji. Ziemia się zatrzęsała, a na horyzoncie pojawiła się ogromna fala. Przyjaciele bez zastanowienia zaczęli szukać schronienia. Ostatecznie schowali się w kościele, przy którym się spotykali. Usytuowali się w rogu, oczekując na najgorsze. Zobaczyli jak ogromna konstrukcja zawala się, a woda wdziera się przez okna. Fala zabrała ich ze sobą. Płynęli i płynęli, i płynęli... Bez świadomości, bez poczucia czasu, bez niczego... Rzekami, morzami, aż w końcu dotarli. Tam, gdzie wysłał ich Pan. A ludzie? Przeżył jeden człowiek – żebrak. Ten sam, który błagał o chleb, ten, który został okrutnie potraktowany. On jeden schronił się w tym samym kościele. I mu się udało.

Owa wioska teraz nosi nazwę Łeba. Żebrak odbudował ją na nowo. Osiedlili się tam nowi, dobrzy ludzie. Po dżungli nie ma ani śladu. Teraz znajduje się tam las i plaża. Morze już nie nadaje się dla langust, gdyż znacznie się ochłodziło. Ludomira i Mieszko są

szczęśliwi. Dalej się przyjaźnią i mieszkają w północnej Afryce z dala od cywilizacji.

Tytanka
SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE I OSOBY DOROSŁE
I MIEJSCE

Ponadgimn.
DUCH Z PAŁACU

PAULINA CZAJKOWSKA

Gdy jakiś przechodzień – miejscowy bądź obcy – mija pałac z Zdrzewnie, a w zasadzie to, co z niego zostało, może choć przez krótki moment zastanawia się, jak żyło się kiedyś w tym pałacyku. Jak on wyglądał u szczytu swojej świetności? Kto tam mieszkał? Piękne damy, przystojni panowie? Czy tamci ludzie byli szczęśliwi?

Może czasem przyjdzie komuś do głowy taka myśl. Może. Ale czy ktoś zdaje sobie sprawę, że kiedyś w tym pałacu przebywał także... duch? Nie? Posłuchajcie więc historii o duchu ze Zdrzewna!

Gdy jeszcze kilkadziesiąt lat temu pałac tętnił życiem, wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej. Właściciel pałacu, hrabia, co rusz urządzał tu różne przyjęcia lub wybierał się z przyjaciółmi do lasu na polowanie, po czym świętowano w pałacu – mniej lub bardziej – udane łowy. Żona hrabiego uwielbiała swój ogród – i pomimo że wśród służby był również ogrodnik, hrabina często sama plewiła wśród kwiatów, siała, przesadzała – a gdy latem ogród tonął we wszystkich kolorach, siadywała chętnie w cieniu rozłożystych drzew i podziwiała to otaczające ją piękno.

W pałacu mieszkała także córka hrabiostwa, która kochała czytać książki. To głównie na jej prośbę hrabia sprowadzał do pałacu nowe powieści i po pewnym czasie biblioteka naprawdę się rozrosła. Młoda hrabianka urządzała raz w tygodniu spotkania – wieczory z książką – na których pojawiali się jej przyjaciele. Razem opowiadali sobie przeżycia związane z daną lekturą, dzielili się wrażeniami.

Można powiedzieć, że życie tutaj było sielanką. Hrabia dbał również o chłopów, nikomu nie odmawiał pomocy, więc był lubiany i szanowany wśród ludu. Ale od pewnego czasu coś zaczęło się psuć...

To zaczęło się na jednym z wieczorków z książką młodej hrabianki. Było bardzo wesoło, ktoś właśnie tłumaczył reszcie, co go najbardziej zachwyciło w lekturze, gdy nagle na oczach wszystkich książki zaczęły wystrzeliwać z regałów! Dosłownie wystrzeliwać, jak z armaty! Regał po regale, książki z hukiem padały na ziemię. Ludzie zaczęli panikować i z wrzaskiem uciekać z biblioteki.

Hrabia nie chciał wierzyć opowieściom swojej córki. Sam osobiście sprawdził regały i zapewnił ją, że nie ma w nich niczego podejrzanego. To na pewno był przypadek, może chwilowe trzęsienie ziemi nawet.

Lecz przestało mu być do śmiechu, gdy którejś nocy obudziło go okropne wycie. Początkowo myślał, że to może psy wyją na dworze, albo wiatr huczy w kominku. Jednak to nie mógł być wiatr ani pies – zwłaszcza że do upiornego wycia dołączył szaleńczy śmiech – i tak przez kilka godzin. Dopiero nad ranem się uspokoiło, a hrabia z podkrążonymi oczami zaczął się zastanawiać czy przypadkiem nie oszalał.

Również i żonę hrabiego spotkała nieprzyjemna sytuacja. Przebierała się właśnie w robocze ubranie – chciała wyjść do ogrodu trochę uporządkować rabatki – gdy nagle jej suknia sama poderwała się w powietrze! Zaczęła krążyć, wirować po pokoju, jak gdyby jakieś niewidzialne ciało miało ją na sobie. Przerażona hrabina zaczęła krzyczeć, ale gdy służba wpadła do pokoju, suknia opadła na ziemię, a gdzieś nad nimi rozległ się upiorny chichot...

Takie sytuacje zaczęły się powtarzać codziennie. W różnych niespodziewanych momentach przedmioty unosiły się w powietrze, albo spadały z szaf. Jedna z kucharek raz nawet zemdląła, gdy przygotowany do skubania już bezgłowy kurczak nagle jakby ożył i zaczął latać. Na porządku dziennym były przeraźliwe wycia po korytarzach lub dla odmiany upiorne chichoty. Zaproszeni goście wymigiwali się od przyjscia w odwiedziny. Najbardziej cierpiała nad tym córka hrabiego, bo nawet jej przyjaciele przestali przychodzić na wieczorki literackie. Ludzie na wsi zaczęli gadać, że pałac musi być przeklęty. Może była w tym wina hrabiego? Może dopuścił się jakiegoś strasznego grzechu, a to teraz kara za jego winy?

Miarka się przebrała, gdy któregoś razu przy obiedzie kieliszek z winem uniósł się w powietrze, a jego zawartość wylądowała na głowie hrabiny. Ta wybuchła płaczem, a hrabia postanowił, że czas stanąć prawdzie w oczy: w pałacu jest duch. Trzeba coś z tym zrobić.

Hrabia sprowadził najpierw proboszcza, później różnych księży specjalizujących się w wypędzaniu duchów, ale nic nie pomogło. Duch był wyjątkowo odporny na wodę święconą i modlitwy.

Ogłoszono więc w okolicy, że hrabia zapłaci niemałą sumkę temu, kto wypłoszy ducha z jego pałacu. Reagowano na to różnie. Część mieszkańców tylko utwierdziło się w przekonaniu, że hrabia jest przeklętym grzesznikiem i zaczęło spluwać na jego widok. Ale trafiła się też spora grupa śmiałków, która z zapalem przychodziła do pałacu. Młodzi mężczyźni chętni się swoimi umiejętnościami w walce z duchami, co rusz zerkając kątem oka w kierunku młodej hrabianki. Niestety! Większość z nich z wrzaskiem uciekała w nocy z pałacu, nie tracąc nawet czasu na przebranie koszuli nocnej.

A duch dalej śmiał się i dręczył mieszkańców.

Z czasem zaczęto jakby przyzwyczajać się do ducha. Już nie reagowano wrzaskiem na jego sztuczki, tylko ciężko wzdychano, jak nad nierozumnym uczniem, który nie jest w stanie zapamiętać tabliczki mnożenia. Hrabia bardzo schudł i miał ciągle podkrążone oczy. Hrabina posiwała, a ich córka stała się bardzo melancholijna. Część służby zwolniła się, bo nie chciała dłużej pracować w takich warunkach. Zaczęto poważnie rozważać wyprowadzkę z pałacu.

Któregoś dnia zawędrował w te strony pewien młodzieniec. W zasadzie nie chciał zatrzymywać się dłużej w Zdrzewnie, ale gdy od jednego z mieszkańców wsi usłyszał historię o duchu utrudniającym życie w pałacu, postanowił, że spróbuje jakoś uporać się z tą zjawą. Co mu szkodzi przecież spróbować?

Feliksowi, gdyż tak miał na imię ów młodzieniec, otworzył drzwi jeden z nielicznych już wiernych sług. Zaprowadził go do salonu, wzdychając tylko po drodze ciężko, bo duch znowu zaczął swoje upiorne wycie.

W salonie siedział hrabia z poszarzałą z nerwów twarzą oraz jego żona i córka.

- Mówisz więc, młodzieńcze – zaczął hrabia – że byłbyś w stanie pozbyć się tego naszego utrapienia?

- Tyle już tu było i nikt nie dał rady – załkała hrabina. – Tu nie można tak dłużej żyć!

W tym właśnie momencie duch postanowił pokazać nowemu gościowi, na co go stać. Wszystkie obrazy wiszące na ścianach z hukiem zaczęły spadać na ziemię.

- Widzisz? – spytał hrabia słabym głosem. – I tak dzień w dzień, bez przerwy.

Feliks zastanowił się przez chwilę, po czym odparł poważnie:

- Wydaje mi się, że wiem o co chodzi waszemu duchowi. Nic nie obiecuję, ale spróbuję coś z tym zrobić.

Młoda hrabianka zdziwiła się na te słowa. Większość ludzi, którzy tu przybywali, chętni się, co to oni nie potrafią, ale na widok działań ducha uciekali w popłochu. Ten jednak Feliks wcale nie przechwalał się, że następnego dnia już duch zniknie ze Zdrzewna.

Po kolacji zaprowadzono Feliksa do pokoju, w którym miał spędzić noc. Upředzono go jednak uczciwie, że duch na pewno w nocy nie da mu spać. I rzeczywiście – krótko po północy w pokoju Feliksa rozległo się wycie ducha – duch przecież nie mógł odpuścić sobie uciechy przestraszenia nowego przybysza.

Ten jednak nawet nie zagregował na jego wrzaski. Duch zdziwił się. Czyżby ten chłopaczek umarł ze strachu? Hoho, to mu się jeszcze nie zdarzyło przestraszyć kogoś na śmierć! Duch nachylił się ostrożnie nad łóżkiem, gdy nagle rozbłysło światło – Feliks wyszedł z szafy i trzymał w ręku zapaloną lampę naftową.

- Pokaż się, skoro jesteś taki odważny – rozkazał duchowi Feliks. – Płatać figle masz odwagę, ale ujawnić się, to już nie?

Duch zdenerwował się. Nikt nie będzie mu wypominał, że jest tchórzem! Zmaterializował się więc, a Feliks ujrzał niewiele może młodszego od siebie młodzieńca, chłopca raczej. Piegowaty, o złośliwych oczkach, na głowie miał kapelusz z pawim piórem. Duch uniósł się w powietrze i zaczął rzucać w Feliksa pestkami dyni.

- Myślisz, że jesteś taki zabawny? – Feliks spytał się kpiąco ducha. – Znam o wiele lepsze sztuczki od ciebie.

- Akurat! – duch wykrzyknął oburzony. – To ja jestem najlepszym kawalarzem w tych stronach! Nikt nie zna lepszych sztuczek ode mnie!

- A może się założymy? – zapytał Feliks. – Urządzimy konkurs.

- Co będę z tego miał? – spytał duch mrużąc oczy.

- Jeśli wygrasz, będziesz mógł tu zostać na stałe i nikt już nie będzie próbował cię stąd wyganiać.

- Ha! To już możesz pakować manatki... - zaczął duch, ale Feliks mu przerwał.

- Ale jeśli ja wygram – oświadczył stanowczo. – To wyniesiesz się z pałacu, ze Zdrzewna i nigdy więcej już tu nie wrócisz.

Duch zaśmiał się tylko, ale zgodził się. Ten cały poważny chłopaczek drażnił go. On powinien był uciec z wrzaskiem na jego widok, a nie przechwalać się, że zna lepsze sztuczki! Feliks oznajmił mu tylko jeszcze, że za trzy dni hrabia urządzi przyjęcie, podczas którego zostanie wyłoniona osoba znająca najlepsze sztuczki. Duch uśmiechnął się złośliwie, po czym znów stał się niewidzialny.

Przeleciał przez ścianę i zaczął znów swój nocny koncert okropnych wrzasków i jęków.

Hrabia nie był wcale szczęśliwy na wieść o zakładzie Feliksa z duchem. Nie wierzył za bardzo w możliwości tego młodzieńca, ale co pozostało mu do stracenia? Tak czy siak duch uprzykrzał im życie, ale może jednak jakimś cudem uda się go stąd pozbyć?... Córka hrabiego była zachwycona wieścią o przyjęciu. Już dawno nie było w pałacu żadnych gości. Była pewna, że na wiadomość o zakładzie ducha z Feliksem przybędą tu tłumy, bo każdy będzie chciał zobaczyć na własne oczy tę przerażającą zjawę.

Nadszedł w końcu ten wieczór. Młoda hrabianka próbowała dowiedzieć się przez te trzy dni, jaką to sztukę przygotował Feliks, jednak ten nie chciał jej nic zdradzić. Rzeczywiście, przybyły tłumy zaproszonych gości, nikt nie odrzucił zaproszenia! Nawet część dawnej służby przybyła do pomocy w szykowaniu potraw i sprzątaniu pokoi. Nikt nie chciał przegapić takiego wydarzenia.

Duch, jak to duch, uwielbiał mocne wejścia. Wszyscy nerwowo oczekiwali jego przybycia; nikt nie wiedział, kiedy dokładnie rozpocznie się pojedynek na sztuczki. Feliks spokojnie czekał – wiedział, że duch na pewno będzie chciał popisać się przed gośćmi.

I rzeczywiście – nagle, wśród śmiechów i brzęku sztućców rozległy się krzyki. Stół zaczął unosić się w powietrze! Przerażeni goście prędko odbiegli na bok. Rozległ się głośny śmiech, stół opadł z hukiem na ziemię, a dla odmiany żyrandol zaczął się ze świstem kręcić w koło. Ludzie bali się, że żyrandol spadnie na ziemię, na szczęście duch przestał po chwili. W powietrze uniosła się taca z owocami, a duch począł żonglować nimi. Szybko mu się to jednak znudziło, a owoce spadły na głowy zgromadzonych gości. Duch chwycił tym razem za kapelusze – nimi także zaczął żonglować, a następnie wyleciał przez taras i umieścił kapelusze wysoko na gałęziach drzewa. Wrócił widocznie po chwili, bo tym razem nagle córka hrabiego znalazła się w powietrzu! Ta zaczęła przeraźliwe krzyczeć, gdy duch wirował z nią nad salą lub podrzucał wysoko. Odstawił ją jednak po paru minutach ostrożnie na ziemię, po czym ku zdumieniu obecnych zmaterializował się – unióś się w powietrze i skłonił przed publicznością.

- Teraz twoja kolej! – krzyknął w stronę Feliksa.

Feliks, który przez cały ten czas spokojnie obserwował poczynania ducha, nakazał zgasić wszystkie światła. Zostawił tylko jeden stojak, na którym

postawił kilka świec, tak by rzucały światło na ścianę. Gościom kazał się odsunąć, a następnie zaczął dłońmi tworzyć różne cienie na ścianie.

- Zwykły teatrzyk cieni? – zakpił duch. – I tym chcesz mnie niby pokonać?

Lecz nagle cienie jakby ożyły – Feliks zaczął niesamowicie szybko poruszać dłońmi, tworząc niezwykle kształty. Jego cienie oderwały się od ściany i jak nie chwycą ducha! Duch krzyknął przerażony, gdy cienie zaczęły unosić go w powietrze i podrzucać, tak jak on wcześniej córkę hrabiego! Duch wirował wokół sali ku uciesze tłumu. Któryś z cieni chwycił czereśnię ze stołu i zaczął nimi rzucać w ducha. Wszyscy goście śmiali się w głos, gdy duch zawisł do góry nogami pod żyrandolem. Cienie zakręciły nim jeszcze parę razy, po czym duch spadł z pluskiem do wazy z ponczem. Przemoczony, z czereśniami dyndającymi mu na uszach, a także okrutnie wyśmiany przez ludzi, duch-ukradkiem wyleciał z sali. Jeszcze nikt nigdy go tak nie upokorzył! Zniknął z pałacu i poprzysiągł sobie, że już nigdy nie wróci do Zdrzewna.

Tłum wiwatował na cześć Feliksa. Hrabia ze łzami w oczach dziękował mu za wypędzenie ducha. Nie wierzył, że mu się to uda, ale jednak! Wreszcie pałac jest wolny od koszmarów!

Huczna zabawa trwała do rana. Przybyli także chłopci z okolicznych domów, których hrabia również zaprosił do świętowania. Tego dnia wszyscy cieszyli się z pozbycia się ducha.

Nikt nie pytał się Feliksa, jak mu się udało tego dokonać. Jedynie córka hrabiego w pewnym momencie podeszła do młodzieńca i zaintrygowana spytała się o jego sztuczki.

- Cóż – odparł Feliks. – To przecież był tylko zwykły teatrzyk cieni, nieprawdaż? - uśmiechnął się błyskiem w oku i poprosił hrabiankę do tańca.

To było jednak dawno temu. Teraz pałac w Zdrzewnie stoi opustoszały i zaniedbany. Nikt nie pamięta o tamtych wydarzeniach, wszyscy zapomnieli już hrabiego, jego rodzinę, dzielnego Feliksa i historię o duchu. Przyszła wojna, trudne dla Polski lata po niej, a pałac pustoszał i niszczał. Może jednak czasem ktoś sobie przypomni o tym, że to właśnie tam złośliwy duch płatał różne psikusy? Kto wie – może duch kiedyś jeszcze powróci, gdy pałac znów będzie odnowiony? Kto to wie? To byłaby przecież całkiem nowa historia...

PONADGIMN.

II MIEJSCE

MAGDALENA KUBIAK

don't

Pseudonim: Urszula Nowik

„Legenda o sześciu wickowych dębach”

Nie było to w czasach, gdy szlachetny król Jogajła zabronił ścinać cisy na ziemiach Korony i Litwy. Wszak Wicko był już wówczas poza jego jurysdykcją, a i tak wickowy cis obok szlacheckiego gniazda rósł już wtedy dumnie i z lekceważącą wyższością patrzył na okolicznych chłopów, których dwa bez mała pokolenia przewinęły się wóczas przez dziedziniec pański. Mieszkańcy Wicka z dziada pradziada zżyci z ziemią i okalającymi ich lasami żyli w zgodzie z naturą i sprawiedliwością ludzką, choć niedaleko im wszak było do znaczniejszej wtedy Białogardy, której mieszkańcy, chyba wzięwszy sobie do serca złą sławę Czarnej Łowczyni – księżny Małgorzaty, sami też nie stronili już to od stagwi mocnego trunku, już to od krętaństw kupieckich.

Wiccianie inaczej – lud to był z dawien dawna robotny, poczciwy, choć ubogi, jak ta ziemia, co raz to obdarzała swoich mieszkańców sporym spichlerzem zboża, by za moment poskąpić im nędznego nawet plonu.

Ludzi to jednak nie zniechęcało i trwali tak stulecia całe, nie złorzeczając ni na kapryśną przyrodę, ani też nie wynosząc się zbyt dumnie z powodu krótkotrwałego zbytku, który czasem przynosił im los.

Działo się to dokładnie zimą 1812 roku, gdy Europa ogarnięta była wojennym szaleństwem Boga wojny - Napoleona. Niepokonany jak dotąd cesarz Francuzów rzucił się całą potęgą

międzynarodowego wojska na ziemię Moskali. Ci, pewni, że żaden człowiek nie jest w stanie pokonać ich srogich zim, stawili zacięty opór Bonapartemu, choć nieustraszeni Polacy – najwierniejsi wiarusi napoleońscy, szli jak burza w rosyjską zamięć z pewnością ludzi odartych z wolności, ale nie z nadziei na prędkie odzyskanie Ojczyzny. Rychło jednak marzenia o pokonaniu carskich wojsk przysły wraz z lutymi mrozami, które dziesiątkowały rozbitków Bonapartego. Pod koniec zimy, gdy odwrót i haniebna klęska Cesarza stały się faktem, te niedobitki wielkiej niegdyś i butnej armii pojawiły się także w okolicach Wicka.

Wśród nich było również sześciu oficerów Napoleona:

Jean, co jedną ręką potrafił podnieść ciężar godny mięśni dwu tęgich mężczyzn; Luc, co strzelał celnie na 50 kroków; Gael, który nożownikiem na wojnach stał się zawołanym; z nimi ramie w ramie kroczyli dzielnie, mimo odniesionych ran, trzej bracia Louise, Francois i Henry – znani nie tylko z odwagi, ale także ze sprytu i chytrłości.

Szli starym szlakiem cysterskim aż spod Pucka, szlakiem znanym jeszcze z czasów Potopu Szwedzkiego na tych ziemiach. Gdy dowlekli się w końcu do Wicka, było późne popołudnie, zmierzch już ogarnął miejscinę, choć w oknach migotały rażno płomienie świec i łuczywa, zapraszając zgłodniałych i zziębniętych tułaczy do wproszenia się na odpoczynek.

– Jest tam kto? – jak zwykle w takich wypadkach pierwszy odzywał się Louise – z racji tego, że na każdej z przebytych

wojen, prócz odniesionych ran i bogatych łupów, potrafił zdobyć jeszcze jedną cenną umiejętność – nadzwyczaj prędko przychodziło mu zapamiętywanie miejscowej mowy.

Mimo głośnego wichru, który był zapowiedzią nadciągającej wraz ze zmierzchem zawiei, karczmarz usłyszał wołanie, choć drzwi gospody wydawały się być zamknięte na głucho.

-Wejdźcie, szlachetni panowie – jego głos był chropowaty jak zardzewiałe sito do przesiewania mąki.

Oficerowie szybko wtargnęli do przytulnego wnętrza. W gwarnej jak dotąd sali, pachnącej żywicą i miodem, rozgrzanej ogniem z komina, z nagłą zaległa cisza. Ciekawskie oczy miejscowych gospodarzy wpatrywały się w przybyłych, nie było w nich jednak nienawiści. Nawykli do wędrowców z dalekich krain nauczyli się dawni wicczanie przyjmować obcych jako dobrodziejstwo lub dopust boży – zawsze z równym spokojem i rozważą. Nie inaczej było teraz.

Bez zbędnych pytań przed śmiertelnie utrudzonymi oficerami stanęło tutejsze jadło: kasza jaglana, wino grzane, kawałek udźca drobiowego, śledzie. Na mniejszych talerzach spoczywały pajdy chleba ze smalcem tuż przy glinianym garze z kiszonymi ogórkami. Całe jadło i napitek żołnierze napoleońscy wchłaniali bez ceregieli z szybkością ogara myśliwskiego szczującego zwierzyne.

Tymczasem córki gospodarza, widząc rany dwóch żołnierzy, z wprawą zajęły się opieką chorych. Na szczęście, uszkodzenia

ciała, choć zaognione i bolące, nie były głębokie i groźne dla życia Henry'ego i Luca.

-A którądy do Białogardy najkrócej? – to było pierwsze pytanie cudzoziemców po posiłku.

Widać, że mimo zmęczenia, nie szykowali się jakoś do noclegu w Wicku.

Kował Hanke podniósł prawą brew ze zdziwienia.

-Czyżbyście chcieli, panowie, jeszcze tego wieczora wyruszyć dalej?

-Ostańcie z nami do wschodu. Pogwarzamy sobie przy piwie – nalegał Jank, mieszkaniec Dołka.

-Nam tu mało wieści ze świata przynoszą. My chciwi nowin – gospodarz karczmy miał nadzieję na sutą zapłatę za gościnę, zerkając co rusz w olbrzymie toboły, które taszczyli ze sobą pospołu wędrowcy.

Znać było, że ciężkie musiały niechybnie być i w drodze nadzwyczaj trudno było ciągnąć je ze sobą, ale wielką musiały też mieć dla oficerów wagę, skoro żaden nawet dotknąć ich nie dał pachołkom, co to ulżyć chcieli żołnierzom w dźwiganiu.

-Pewnie coś znacznego dźwigacie, skoro nie zostawiliście takiego ciężaru w drodze, mimo osłabienia – chłopci byli coraz bardziej dociekliwi.

Zdenerwowanie na strudzonych licach wędrowców wyostrzyło im rysy twarzy. Podobni byli teraz do wilków i lisów, którzy czują, że są tropieni przez myśliwców.

- Którędy najkrócej do Białogardy? Musimy przed północą tam stanąć na wywczas, zanim jutro będziemy w Lęborku – wyjaśnił Louise skwapliwie, widząc niedowierzanie miejscowych chłopów.

-Można dzielnikiem – rzekł z wolna karczmarz i wskazał okiem na prawe okno.

Szepty pozostałych bywalców zajazdu nie wróżyły nic dobrego.

-Tam rzeź powiedział – zachnął się kowal. –Dyć tam od północy źle siedzi i straszy.

Głos miał drżący przy tym i cichy jak szum sosny w letni poranek, ale słyszeć go teraz było w całej izbie bez trudu.

-Diabeł tam, pomorski, na rozstaju czyha na wędrowców.

-I miejscowym nie przepuści, jeśli się nie przeżegnamy i nie spluniemy przez lewe ramię.

-Nie chodźcie tam o zmroku panowie, ino o poranku.

Gadali teraz z przejęciem, jeden przez drugiego.

Oficerowie tylko popatrzyli wymownie po sobie, coś tam po francusku ze sobą pogwarzyli i śmiejąc się, ruszyli w stronę wyjścia.

Jedna z córek karczmarza podbiegła jeszcze do Louise'a i szepnęła mu na ostatku:

-Kto nie zna naszych modlitw i Boga w sercu nie nosi – zgubi tam swoją duszę.

Louisowi mrowie przeszło przez plecy, choć niejedno widział i niejedno robił na wojnach, ale nie dał po sobie poznać towarzyszom, że się boi. Pożegnał się tylko skinieniem głowy, złotego talara zostawił karczmarzowi – i poszedł w ślad za resztą oficerów.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Chłopi spojrzeli po sobie z bojaźnią w sercu.

-Jeśli sumienia mają nieczyste, na wieki przepadli – wyszeptał Jank i przeżegnał się powoli. Reszta w milczeniu uczyniła to samo.

Mrok Francuzów ogarnął niemal zupełny, bo ze światła wyszli. Niebawem jednak ich oczy niczym kocie ślepie zaczęły odnajdywać właściwy kierunek. Szli w stronę światła, które w oddali majaczyły – niechybny znak Białogardzkiego Grodu. Przedarli się na gościniec przez wielkie zasy i teraz brnęli w śniegu, co nie dawało światła, tylko oznajmiał grubym tonem, że mróz siarczysty nadchodzi. Za plecami mieli już Wicko, kroczyli wolno, choć uporczywie, nie rozglądając się na okalające gościniec pola i łąki. Nagle z prawej strony pojawił się ktoś obcy – na pozór zwyczajny jak oni wędrowiec. Ciągnął jednak dziwnie nie wprost na nich gościńcem, tylko z łąki pełnej teraz zasp. Szedł, jakby płynął wśród śniegu, który wcale zdawał się mu nie przeszkadzać. Zawierucha nagle ustała, jakby ktoś zgasił ją ręką, niczym świecę. Dziwna ta postać stanęła nagle przed oficerami w zupełnej ciszy. Kaptur miała na głowie i ciemny jak skrzydło kruk, błyszczący płaszcz. Rzekła wtenczas spokojnym, dziwnie wyraźnym głosem w stronę Francuzów:

-A dokąd to się spieszą panowie oficyjerowie spod Moskwy?

Spojrzeni tylko po sobie i szli dalej, chcąc ominąć niezwykłego intruza. Coś jednak dziwnego stało się z ich nogami. W ogóle nie mogli teraz nimi poruszać.

-Nieczyste wasze są dusze, zbrukane tak samo, jak myśli i sumienia.

Intruz zdawał się teraz krążyć wokół wędrowców niczym mgłą. Jego głos stawał się podobny do syku węża.

-Każdy z was, choć odważny, dźwiga tobół grzechów cięższy niż te, któreście w Rosji złupili i teraz za sobą ciągniecie.

Żołnierze byli jak odrętwiali, niemo wpatrując się w dziwne zjawisko.

-Ty, Louise, choć najmądrzejszy z tej całej hałastry, nie dałeś się oprzeć chciwości.

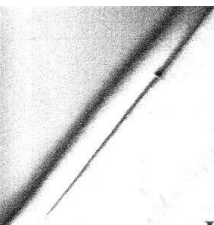
-Ty, Luc, swą ranę otrzymałeś, kradnąc ikonę z cerkwi.

-Ty, Jean, choć najsilniejszy, swą siłę wypróbowywałeś na najsłabszych kobietach i dzieciach.

- I ty, Gael, wymordowałeś nożem całą rodzinę, żeby dostać się do kosztowności.

- Reszta braci nie lepsza – mord i zbrodnia są waszym drugim imieniem.

Wyrzekłszy to, Pomorski Diabeł obrócił się sześć razy, zawirował swym czarnym płaszczem niczym mroczne śmigło wiatraka wokół oficerów i krzyknął w ciemną otchłań powietrza:



-Jesteście silni i mocni jak dęby, dlatego dębami staniecie się na wieki!

Tak się też stało. Sześć dębów do dziś rośnie wzdłuż drogi tuż za granicami Wicka przy drodze do Białogardy na pamiątkę Jeana, co jedną ręką potrafił podnieść ciężar godny mięśni dwu tęgich mężczyzn; Luca, co strzelał celnie na 50 kroków; Gaela, który nożownikiem na wojnach stał się zawołanym oraz trzech braci: Louise'a, Francoisa i Henry'ego – znanych nie tylko z odwagi, ale także ze sprytu i chytryści.

Antylopa
PONADGIMN

III MIEJSCE

Ponadgimn.
MARIA MICHAŁOWSKA

Legenda do ... legendy

W malowniczych okolicach, zwanych Błękitną Krainą, znajdziesz Lębork położony, jak w kolebce, w dolinie rzeki Leby.

Miasto z równinami, dolinami barwnymi poprzez zmienność pór roku, otoczone jest wzgórzami porośniętymi gęstym lasem. Jego dzieje obfitują w wydarzenia historyczne.

Dawne burzliwe czasy przywołują zabytki, relikty przeszłości, między innymi Zamek Krzyżacki z młynem i Domem Młynarza, Park Chrobrego z Górą Skazańców, zwaną też Szubieniczną i wreszcie fontanna z żabkami, bohaterka legendy.

Mit fontanny powrócił, gdy w 2012 roku władze miasta postanowiły odtworzyć jej kształt, według najstarszego zachowanego projektu.

Jak sięgnąć pamięcią, była swoistym symbolem miasta. Trudno je sobie wyobrazić bez tego obiektu.

W starych zapiskach, wspomnieniach napływających tu po II wojnie światowej osiedleńców, często przewija się motyw, nazywany po prostu ... żabkami.

Po odrestaurowaniu fontanna, tak jak dawniej, budzi zachwyt wśród dzieci, a sentyment u dorosłych mieszkańców, także turystów coraz liczniej przyjeżdżających. Żeby umówić się na spotkanie w centrum miasta, nie trzeba znać nazw ulic. Wystarczy powiedzieć: „Spotkajmy się przy żabkach”.

A zatem, do zobaczenia przy żabkach.

Na dobrą wróżbę o północy
Wrzuć do fontanny srebrny grosik
Wsluchaj się w szmer przejrzystej wody
Skargi żalostnej usłyszysz głosy
Posłyszec możesz ojca lament
On to przez zakłęcie wróżki
Ustrzec chciał swe córki
Przed okrutnym panem
Zły los i czar nie zdjęty sprawił
Że panny przecudnej urody
Zamiast w zwierciadła zerkać
Patrzą w lustro wody
Żabki przy fontannie
Od wieków uspięne
Pod twardą opoką młode serca biją
W legendzie żywe pozostają
A wiąże się to z pewną historią...

Legenda o lęborskiej fontannie z żabkami

Nie tylko Wanda, bohaterka starej polskiej legendy, nie chciała Niemca. Mieszkańcy Lęborka mają w swojej historii podobny wątek.

Wszystko zaczęło się w rodzinie polskiego młynarza o imieniu Dobromir. Fach swój uprawiał z upodobaniem, a znał go dobrze, przechodził bowiem w jego rodzie z pokolenia na pokolenie. Dobromir był ojcem ośmiu córek. Pan Bóg nie obdarzył go męskim potomkiem. Chociaż w głębi duszy pragnął syna, był wdzięczny losowi, bo córki były nie tylko urodziwe. Gdy dorosły, okazało się, że są także pracowite i zaradne jako gospodynie. Wychowywał je sam od momentu, gdy wiele lat temu, tuż po narodzinach najmłodszej córki Liliany, jego ukochana Halszka poważnie zaniemogła. Udało mu się oddać ją pod troskliwą opiekę siostr cystersek do klasztoru w Wejherowie. Odwdzięczał się za to nie tylko datkami na klasztor. Zaopatrywał go także w mąkę z własnego młyna. Niestety, zmarło się biedaczce. Jakby mało było nieszczęść, młyn dziedziczony po ojcach dostał się w ręce Zakonu Krzyżackiego. Nic go już nie trzymało w rodzinnej wsi. Wyruszył więc w drogę w

poszukiwaniu jakiegoś zajęcia i miejsca, gdzie mógłby osiąść, by wraz z córkami rozpocząć nowe życie.

Nie mógł wiedzieć, że dalszy scenariusz jego losów złoży się na legendę.

Żeby ją opowiedzieć musimy cofnąć czas o kilkaset lat, kiedy to Lębork, do którego Dobromira wiodło przeznaczenie, zaczął być podnoszony do rangi miasta.

Historia, którą przywołuje legenda, wydarzyła się na przełomie XIII i XIV wieku.¹⁰

Na Pomorzu postrach siali wówczas rycerze w białych płaszczach, znaczonych czarnymi krzyżami. Zakon Krzyżacki, bo o nim mowa, miał zadomowić się tu na stałe. Nie był raczej mile widziany, toteż chcąc czuć się bezpieczniej, a zarazem pokazać swoją potęgę, budował wciąż nowe zamki warowne. Idealnym miejscem na zbudowanie warowni, w której zamieszkać miał komtur krzyżacki była dolina rzeki Łeby. Ostatecznie jednak władze zakonu zdecydowały, że stanie tu nieduży zamek z funkcją obronną, na potrzeby urzędnika terytorialnego. Został nim Hans von Gleichen, rycerz wywodzący się ze znanego hrabiowskiego rodu. Miał między innymi zorganizować sądownictwo i egzekwować prawo, a było ono niezmiernie surowe, przypominało raczej kodeks niewolnictwa. Za najdrobniejsze nawet przewinienia karano okrutnie, z konsekwencją śmierci włącznie. Sam egzekutor, wymagający od poddanych lojalności, nie przestrzegał prawa, siał śmierć i rabował. Włodarz Gleichen zamieszkał w posiadłości wraz ze swoim dorosłym synem Konradem. Tak jak przy każdym zamku krzyżackim, tak i tutaj, stanął młyn zakonny ze spichlerzem, zapleczem kuchennym, ze spiżarniami oraz piwnicą ze znaczną ilością piwa i miodu, których to trunków zapasy często uzupełniano. Nie było to zbyt trudne. Browar i gorzelnia pracowały już pełną parą. Jako że osada spełniała wówczas rolę zaplecza gospodarskiego na potrzeby całej rzeszy ludzi, podlegających bezpośrednio urzędnikowi krzyżackiemu najwyższej rangi, zapotrzebowanie na siłę roboczą było coraz większe.

W tym momencie czas powrócić do bohatera naszej opowieści, młynarza, który dotarł właśnie wraz z córkami do rozbudowującego się miasteczka, zwanego z niemiecka Lauenburg.

Już wówczas znane było powiedzenie: „Młynarz budzi się w nocy, kiedy młyn staje”. Taki był Dobromir: pracowity, oddany bez reszty temu, czym się zajmował. Dopisało mu szczęście gdyż we młynie, nikt dotąd nie sprawdził się w profesji, którą on wyssał niemal z mlekiem matki. Jako kolejny, nie wiedząc już który, został poddany próbie. Szybko poznano się na jego talentach i pracowitości.

Pan jego był srogi, a nawet okrutny. Jednakże młynarz zakonny był ważną personą, co sprawiło, że nie musiał obawiać się prześladowań. Wraz z córkami zamieszkał w obszernym i wygodnym Domu Młynarza. Panny, nauczone solidnej pracy, pomagały ojcu. Zajmowały się także kuchnią i spiżarniami. W tamtych, jakże okrutnych czasach, nie słyszało się o dobrych stosunkach pomiędzy Krzyżakami, a rdzennymi bądź napływającymi mieszkańcami. Godne traktowanie rodziny młynarza wywołało negatywny wpływ na relacje z pobratymcami. Zaczęto się go obawiać i stronić od niego. Dobromir musiał nauczyć się z tym żyć, chociaż nie było mu lekko na duszy.

Mówi się, że wszystko co dobre, szybko się kończy.

Nad, śmiało można rzec, sielankowym życiem rodziny nagle pojawiły się czarne chmury, mimo iż nic na to wcześniej nie wskazywało. Przyczyną dramatu, który miał się wkrótce wydarzyć, była nieszczęśliwa miłość.

Córki młynarza uchodziły za piękności. Mówiło się o nich nawet „piękne młynareczki”. Liliana, najmłodsza, o wybitnie słowiańskiej urodzie, najbardziej przykuwała uwagę młodego syna zarządcy. Konrad ścigał ją wzrokiem, co młodzieńką dziewczynę bardzo peszyło. Gdy adorator był w pobliżu, onieśmielona wbijała wzrok w podłogę, jednocześnie to splatając, to rozplatając końcówki warkoczy. Nieśmiałość dodawała jej uroku, a młody Gleichen nie odstępował jej ani na krok. Pod byle pretekstem pojawiał się w kuchni, gdzie Liliana przebywała najczęściej. Konrad, wiedząc, że dziewczyna nie odwzajemnia jego uczuć, skrywał je przed własnym ojcem. Domyślał się, że konsekwencje odrzucenia załotów przez - bądź co bądź - niewolnicę, mogą być przykre nie tylko dla ukochanej.

Charakter młodzieńca bardzo różnił go od ojca. Chłopak był uczuciowy, wrażliwy. Cierpiał, widząc krzywdę niewinnych ludzi, co bardzo drażniło ojca. Hans szybko zorientował się, że jego syn zakochał się do szaleństwa, a że uczucia według niego były oznaką słabości, pewnego razu zniecierpliwiony rzekł:

- Widzę, żeś okrutnie rozmiłowan w córce młynarza. Syn Zakonu, a wkrótce przywdziejesz biały płaszcz i otrzymasz miecz, nie może być słaby i uległy. Musisz wiedzieć, kto jest pan, a kto sługa. Chcesz dziewczkę, bierz, a nie pytaj o zgodę.

Gdy wypowiadał te słowa, twarz jego ani drgnęła. Sztywny i wyprostowany, z podniesioną głową, spoglądał na Konrada tak obojętnie, a zarazem pogardliwie, jakby patrzył nie na syna, a nawet nie na człowieka, ale na kołek w płocie. Po tym, jak odprawił swego potomka, nie dopuszczając go do głosu, wezwał do siebie młynarza.

- Syn mój Konrad upodobał sobie jedną z twych córek. Żądam, by natychmiast stawiała się na zamku.

- Wybacz panie, ale nie może dojść do tych zrękowin, albowiem wraz z małżonką moją Halszką ślubu złożyłem, że nie oddam żadnej z córek obcemu i chciałbym ślubów dochować – odpowiedział z troskany młynarz.

- A kto tu mówi o zrękowinach, głupcze. Nie schlebiaj sobie. Nie zapominaj, że życie tylko z łaski Zakonu. Jutro dziewczka ma stawić się na zamku! Wracaj do swoich obowiązków – tymi słowami zakończył rozmowę.

Dla okrutnego Niemca nie liczyły się żadne świętości. Nie pomogły błagania Konrada, żeby zaniechać przymusu. Zarządca był nieugięty.

Następnego dnia Liliana zniknęła. Rozpacz była ogromna, gdy młody dziedzic przy młyńskim kole znalazł kokardę z warkocza dziewczyny. Przyszedł do załamanego Dobromira, który zdziwił się wielce tą wizytą.

- Wiedz młynarzu, że rad byłbym nieba przychylić waszej córce. Nie spodziewałem się takiego nieszczęścia. Cierpię wraz z tobą. Muszę cię ostrzec. Pozostałe twoje córki są także zagrożone. Ojciec mój nie pogodzi się z odmową. Będzie się mścił. Powinniście rychło opuścić miasto – mówił drżącym z przejęcia głosem.

- Widzę, żeś prawy człek – rzekł wzruszony Dobromir.

- Wdzięcznym ci bardzo za troskę i ostrzeżenie. Mam już pewien plan i wiem, kto może mi pomóc. Wracaj Konradzie na zamek. Ojciec nie powinien widzieć ciebie tutaj.

Młynarz, którego wzruszenie nie opuszczało, uściśkał młodzieńca jak syna i uczynił za odchodzącym znak krzyża.

Dobromir rzeczywiście miał pomysł. Ostatnimi czasy osiedliła się w mieście kobieta zajmująca się tkactwem. Spod jej rąk wychodziły przepiękne gobeliny i inne użyteczne tkaniny, a pracowała na potrzeby zamku. W ukryciu, za żywność i drobne datki, dorabiała sobie wróżbą i czarami. To u niej młynarz ukrył Lilianę i prosił o radę w tej dramatycznej sytuacji. Miał przyjąć powtórnie następnego dnia. Nie zwlekał. Przyszedł skoro świt, zanim wzeszło słońce.

- W tobie cała nadzieja, Okalico. Ratuj moje córki przed zgubą. Wiem, że znasz się na czarach. Ulituj się nade mną. Nie wiem co mam czynić – błagał.

Kobieta zastanawiała się dłuższą chwilę, po czym wyszeptała coś młynarzowi wprost do ucha, jakby obawiała się, że słowa usłyszy ktoś niepowołany. Na koniec kazała przyprowadzić panny, gdy zapadnie zmrok. Młynarz potakująco skinął głową i wyszedł bez słowa.

Chciałbyś zapewne wiedzieć Drogi Czytelniku, co też kobieta powiedziała zrozpaczonemu ojcu. Otóż zaproponowała, że tajemnym zaklęciem przemieni młynarki w kamienne żabki, a gdy tylko zagrożenie minie, cofnie zaklęcie.

Krótko przed północą, w obecności rodziny młynarza, Okalica wypowiedziała czarodziejską formułę:

Iskry z ogniska
Puchacza głos
Niech pannom
Z głowy nie spadnie włos
Ale na moje zawołanie
Niech każda
Kamienną żabką się stanie

Po północy młynarz wracał do siebie, niosąc wiklinowy kosz z najcenniejszą dlań zawartością. Kolejny dzień nie mógł przynieść niczego dobrego, co było do przewidzenia. Nie znoszący sprzeciwu zarządca krzyżacki, zorientowawszy się, że wszystkie panny zniknęły, zażądał od Dobromira wyjaśnień. Po wielu groźbach i krzyku rozsierdzonego pana, uparcie milczącego młynarza zakuto w

dyby na dziedzincu zamkowym. Okrutny Hans musiał jednak zaniechać surowszej kary, a mówiono już o karze śmierci. Okazało się, że nie znaleziono nikogo, kto mógłby zastąpić go w prowadzeniu młyna. Przywrócono więc nieszczęśnika do pracy, do czasu znalezienia zastępcy, oznajmiając jednocześnie, że dosięgnie go kara.

Nad losem młynarza bardzo ubolewał jego pomocnik. Tyle tylko, że nie były to ubolewania szczere. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia, a nazywano go Karłem, ze względu na niski wzrost i nietypową budowę ciała. Mimo niepozornej sylwetki, Karzeł był bardzo silny fizycznie. Zarządca przydzielił go do pomocy we młynie, niby to frasując się, że młynarz zakonny zbyt ciężko pracuje. Tymczasem pomocnik miał być zwykłym szpiegiem. Donosił Hansowi, przekazując najbliższe nawet plotki i informacje.

- Z czym przychodzisz Karle? - spytał donosiciela, który wcześniej się zapowiedział.

- Nie wiem, czym godny mówić o pańskim synu - oznajmił ten służalczym tonem.

- Mów, bo tracę cierpliwość! - zareagował nerwowo Krzyżak.

- Słyszałem, zupełnie przypadkowo, panie, rozmowę młodego dziedzica z młynarzem. Ostrzegał go przed jasnie panem. Namawiał do ucieczki. Słyszałem także, że Okalica zajmuje się czarami i że u niej właśnie młynarz szuka ratunku.

- Potrafię wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy na niemiecki Zakon rękę podnoszą. Choćby to był i syn rodzony, przed karą nie umknie.

Mówiąc te słowa, Hans zaciskał pięści tak mocno, że słychać było chrzęst kości jego palców.

Słuchając swego pana, Karzeł stał z kornie schylnym grzbietem. Nie śmiał nawet unieść głowy. Na gest Krzyżaka, pozwalający mu odejść, wycofał się spiesźnie.

Te ostatnie doniesienia Karła okazały się tragiczne w skutkach. Ku rozpacz młynarza, kobieta okrzyknięta czarownicą została spalona na stosie, na wzniesieniu górującym nad miastem. Dobromir był bliski szaleństwa. Wiedział, że stracił córki bezpowrotnie.

Bezwzględny Hans zemścił się także na własnym synu, wtrącając go do lochu pod zamkiem.

Wkrótce miasto zostało uwolnione spod jarzma krzyżackiego. Młynarz wciąż wykonywał swoją pracę, co było jego jedyną w życiu pociechą. Nie mógł jednak pogodzić się ze stratą córek. Postanowił, że w centrum miasta zbuduje fontannę i umieści na niej osiem kamiennych żabek. Tak też uczynił. Pod osłoną nocy przychodził w to miejsce i opłakiwał córki. Łez nabierało się tak dużo, że wypełniły fontannę.

Tymczasem do wolnego od tyrana, rozbudowującego się miasteczka, przybywali wciąż nowi osiedleńcy. Przywędrował tu między innymi żołnierz tułacz słynący z tego, że nie jeden pióropusz z helmu krzyżackiego zerwał. Słyszał w drodze, że nieopodal jest miasto, położone w przepięknej okolicy, gdzie kowal potrzebuje pomocnika. Zdrożony dotarł wreszcie do Lęborka. Ujrzał fontannę z żabkami, a ponieważ był spragniony, postanowił napić się z niej wody. Zdumiony był wielce, gdyż okazało się, że jest słona.

Najął się do pracy w kuźni i postanowił zatrzymać się w tym niezwykle urokliwym mieście. Myśl o słonej wodzie w fontannie nie dawała mu jednak spokoju, a że był z natury dociekliwy, zdecydował, że zgłębi tę tajemnicę, wypytując mieszkańców. W ten oto sposób poznał historię z życia młynarza. Szczegółów dowiedział się już niego samego. Choć Dobromir był nieprzystępny i stronił od ludzi, udało mu się przełamać jego nieufność.

- Nikt nie jest ci krzyw, Dobromirze, o służby dla Zakonu. Wszyscy są ci życzliwi - przekonywał.

Okazał mu szczere współczucie i odtąd był mu jak brat.

Dobromir wyznał przyjacielowi, że cierpi nie tylko z powodu utraty córek.

- Muszę zrzucić z serca jeszcze jeden ciężar. Czuję się winny okrutnej śmierci wróżki Okalicy. Trudno mi z tym żyć.

- Mam pomysł dobry na twój frasunek - odrzekł Jakub, bo takie właśnie imię nosił pomocnik kowala.

- Wykopmy potężny rów i połączmy go z rzeką Łebą. Niechaj stanie się on korytem rzeki o jej imieniu.

Minęły wieki. Miasto Lębork wciąż pięknieje. Nieustannie coś się zmienia. Istnieją jednak zakątki, przypominające dawne historie. Okalica płynie leniwie wraz z dostojną rzeką Łebą. Na wzniesieniu w Parku Chrobrego znaleźć można niewielką polanę, na której nie wyrosła dotąd żadna roślina, nawet kępka trawy, mimo że wokoło jest mnóstwo zieleni. Mówi się, że tam właśnie została spalona przez Krzyżaków kobieta, zajmująca się wróżbą i czarną magią. W podziemiach Zamku

Krzyżackiego zdarza się słyszeć jęki i brzęk łańcuchów, a duch Konrada snuje się w korytarzach zamkowych.

Podobno raz na sto lat, w rocznicę rzucenia zaklęcia na piękne młynarki, czar przestaje działać na jedną godzinę od wybicia północy. Rodzina spotyka się wówczas w Domu Młynarza, tam gdzie zamieszkiwała w krótkim, acz szczęśliwym okresie swojego życia.

Jeśli Drogi Czytelniku będziesz przypadkiem przechodził obok fontanny, a nie zobaczysz na niej żabek, znaczyć to będzie, że trafiłeś na ten właśnie moment. Podejdź wówczas pod Dom Młynarza, a ujrzysz światła w oknach domu, usłyszysz radosne głosy córek i ich ojca oraz pracujący młyn. Nie czekaj jednak zbyt długo, gdyż minie godzina, a zaklęcie odzyska moc. Na powrót odezwie się lament zrozpaczonego ojca, żegnającego się z córkami. By je ujrzeć i cieszyć się ich obecnością przez jedną godzinę, będzie musiał czekać cały wiek.

Kręci się młyńskie koło
Historia kołem się toczy
Lęborska legenda
O żabkach z fontanny
Tak właśnie się kończy